Nr. 29. Poznań, Niedziela 14go Października 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC:

POLITYKA.

Niebezpieczeństwo anarchizmu.

(Le Péril anarchiste p. Félix Dubois).

II.

Obok dzienników mniej lub więcej stale wychodzących drukują anarchiści plakaty, odezwy, manifesty — których zwłaszcza w epoce wyborów pojawiają się całe stosy. — Jakkolwiek bowiem stronnictwo to przeciwne parlamentaryzmowi żadnego udziału w wyborach nie bierze, — uważa je jednak jako odpowiednią okazyą do demonstrowania przeciw istniejącemu porządkowi, miesza się do agitacyi politycznej, aby ją zamącić i wywołać rozruchy.

Treść plakatu bywa zwykle więcej rewolucyjną niż treść dzienników, język mniej wybrednym, ton znacznie śmielszym. Same ich tytuły dają pewną miarę nastroju. Dubois załącza fac simile plakatu noszącego niewinny tytuł:

„Nigdy ich się dosyć nie zabije“.
(On n'en tuera jamais assez.)

Odezwy takie rozpowszechniają wszelkiemi sposobami, rozsyłają wsunięte nieraz w pismo arcy-zachowawczej lub arcy-klerykalnaj tendencyi.

Osobliwszą przyjemność anarchistów stanowi uczęszczanie na zebrania innych stronnictw wyłącznie w celu wzbudzenia zamętu, z którego korzystają w ten sposób, że wypłoszywszy właściwych uczestników, zajmują ich miejsca i obradują sami. Najchętniej psoty takie urządzają socyalistom mianowicie zaś guesdystom, o których mówią: „to feniksy czwartego stanu, marzący jedynie o tem, aby zostać mieszczanami w miejsce dzisiejszych“. („ils rèvent de s'embourgeoiser à leur tour“).

Po za zebraniami i mityngami publicznemi urządzają także zebrania prywatne, wieczory „familijne“. Ciekawa nazwa w języku ludzi, którzy marzą o obaleniu rodziny! — Na tych zebraniach bywają odczyty, deklamacye i śpiewy. Zdarzały się wieczory dość liczne, na które bilety wstępu kosztowały po trzy franki.

Ulubioną formą twórczości anarchistów jest pieśń — w tym kierunku też literatura ich jest niesłychanie bogatą w utwory niezbyt wykwintne zarówno pod względem formy jak i treści — lecz cieszące się niezmierną popularnością. U Francuzów zwłaszcza, u których wobec każdego politycznego faktu roje piosenek rodzą się na bruku i krążą z ust do ust, taka forma propagandy okazuje się bardzo skuteczną. Lud chwyta każdą nową śpiewkę, krzykacze uliczni wyśpiewują ją na rogach ulic, wędrowni anarchiści roznoszą ją po prowincyi, a wyobraźnia tłumów zapala się i roznamiętnia krwawemi obrazami wymarzonej zemsty.

Jedna z piosenek „Père Duchesne“ stała się historyczną, gdyż Ravachol śpiewał ją idąc na gilotynę. Spotykamy w niej takie zdanie:

„Si tu veux être heureux,
Nom de dieu!
Pends ton propriétaire.“
(Jeśli chcesz byó szczęśliwym, powieś swego właściciela.)

Sylwetki poetów anarchistów kreślone przez Dubois są niezmiernie ciekawe. Prawie wszyscy kolportują i sprzedają sami swe utwory, Jeden z nich, Paillette — deklamuje je nawet w mieszczańskich salonach, inny podpisujący się pseudonimem: „L'Abruti“ wiedzie życie wędrowne, a, że sprzedaż poezyi na utrzymanie mu nie wystarcza, pomaga sobie fałszowaniem pieniędzy. Dość skromny zresztą w wymaganiach poprzestaje na fabrykacyi 50cio centymowych monet.

Ci burzyciele społecznego porządku — miewają czasem i sielankowe pomysły, a propaganda ich choć dynamitem nie gardzi, przybiera czasem łagodne formy filantropii. — Zresztą w jednym i drugim kierunku są zupełnie szczerzy. — Nienawiść bogaczy i miłość dla biednych płynie u nich z jednego źródła. Organizują więc dla głodnych biedaków — kolacye połączone z odczytami, lub wegetaryańskie śniadania, których celem jest zarówno zasilanie żołądków jak i nawracanie umysłów. Zwykle posiłki owe urządzali na koszt własny zbierając składki między sobą, czasami jednak chodzili upominać się o nie u zamożnych mieszczan, przy czem nieraz wymuszali je pogróżkami. Przy podpisach, składkujących kreślili charakterystyczne uwagi. — Ktoś ofiarował 10 franków — kwestujący dodaje od siebie przypisek: „il a tout de même une sale gueule“ — Wegetaryanizm jest bardzo między anarchistami rozpowszechniony, pragną oni tym sposobem zaświadczyć o swym łagodnym nastroju i demonstrować przeciw drapieżnym instynktom burżuazyi.

Wysoko cenionym środkiem propagandy są wędrówki agitatorów. O ich zamierzonej podróży pisma anarchistyczne zawiadamiają towarzyszy, polecając ich opiece owych apostołów anarchii. — Emisaryusze idę od wsi do wsi, od miasta do miasta, śpiewając „la Carmagnole“, „la Ravahcole“ i różne inne pieśni, przemawiając publicznie i nawracając zapalne głowy do swych anti-społecznych teoryi. — Do podniecania buntu służą im prócz tego obrazki anarchistyczne, przedstawiające nową doktrynę poglądowo. Te ostatnie podzielić można na dwie kategorye: Pierwsza znacznie liczniejsza składa się z karykatur przedstawiających symbolicznie dzisiejszy porządek społeczny. W książce p. Dubois znajdujemy kilkadziesiąt obrazków tego rodzaju. Mieszczan i bogaczy najczęściej rysują w postaci nierogatych zwierząt domowych. — Wogóle allegorye nie są bardzo estetyczne — a podpisy podkreślają ich znaczenie. Jeden obrazek przedstawia ojczyznę zjadającą swe dzieci, inny podpisany „Le vrai cholera“ tłustego kapitalistę, drzemiącego na fotelu, pod którym leżą trupy zagłodzonych robotników. Kapitalista naturalnie ma głowę wieprza — to wynika z symboliki stronnictwa. — Drugą kategoryą nazwaćby można obrazami świętemi anarchizmu. Widzimy na nich głównych bohaterów ostatnich lat, otoczonych męczeńską aureolą. Ravachol doczekał się u swych współwyznawców czci fanatycznej. Portret jego odtwarzają na różne sposoby i rozpowszechniają wśród tłumów. Raz widzimy go w więzieniu między dwoma żandarmami, to znów popiersie jego otoczone napisami: „Własność jest kradzieżą“, „Anarchia jest przyszłością ludzkości“, i wreszcie ostatnie słowa jego: „Si tu veux être heureux pends ton propriétaire.“ — Po ostatnich egzekucyach cześć „męczenników“ wyrosła do znaczenia kultu. Jeżeli Ravachol mimo wielu nieanarchistycznych zbrodni, które popełnił, doczekał się apotezy — to ileż więcej oznak hołdu odbiera Vaillant, nie skompromitowany niczem bohater anarchii. Grób jego współwyznawcy okryli kwiatami i wieńcami, odbywali do niego gremialne pielgrzymki i wygłaszali nad nam mowy podburzające.

Nie należy jednak sądzić, aby czyny Vaillanta, Ravachola, Henry'ego i Caseria znajdowały poklask u wszystkich anarchistów. Kwestya „propagandy czynnej" t. j. zamachów dzieli ich stronnictwo na dwa obozy dość wrogo względem siebie usposobione. Anarchiści wojujący zalecają ją stanowczo jako środek najskuteczniejszy przeciw zgniliźnie społecznej. Oto słowa jednego z nich wyrzeczone do korespondenta „Figaro": „Może nakoniec ludzie uznają, że społeczeństwo jest złem, jeżli się przekonają, że podtrzymywanie jego błędów grozi pewnem niebezpieczeństwem. Gdybyśmy kilku szyb nie strzaskali, odsyłanoby nas wiecznie do XX wieku. Rewolucye sieją zniszczenie, ale ich rumowiska użyźniają ziemię i tchórzostwem jest unikać ich". Niektóre z pism anarchistycznych jeszcze śmielej występują, podają wprost recepty na fabrykowanie materyi wybuchowych p. t. „Produits antibourgeois" (antimieszczańskie produkta), a wreszcie nawet objaśniają o sposobach ich użycia. Takiem n. p. pismem był „l'International", założony w Londynie 1890 r. W pierwszym zaraz numerze zalecał on posługiwanie się wszelkiemi środkami dla zniszczenia obecnego społeczeństwa.

„Obok kradzieży, morderstw i pożarów, mówi, które naturalnie stanowią dla nas środki legalne (?), aby dać poznać nasze ultimatum kierownikom dzisiejszego społeczeństwa będziemy używać i chemii, której głos donośny zapanuje nad społecznym zamętem".

Teoretycy anarchii potępiają surowo wszelkie zbrodnie, twierdząc, iż one kompromitują sprawę świętą w ich oczach.

Octawe Mirbeau pisze o zamachu Henry'ego: „Śmiertelny nieprzyjaciel anarchii nie byłby postąpił inaczej jak on, gdy rzucał swą niewytłomaczoną bombę".

Inny znów anarchista, Daniel Laurin, wygłasza takie zdanie:

„Bomba jest najgorszą władzą: jest despotyzmem niepochwytnym, pozbawionym nawet tej cynicznej śmiałości, która przewiduje nienawiść i naraża się na nią. Bomba jest zasadniczo anti-anarchiczną i prawdziwa anarchia tem słuszniej ją przeklina, że dotychczas ona prawie wyłącznie od niej ucierpiała."

Słowa teoretyków jednak budzą tylko nienawiść ślepego tłumu, ściągają na nich przekleństwa i pogróżki. Burzyciele nazywają ich: „papieżykami anarchizmu", „szarlatanami, żmijami i Spka." — i grożą: „Biada im, gdyż kiedyś odpowiedzialność za ich czyny spadnie na nich i strąci ich głowy z karku, jeźli aż do tej chwili zdołają je jeszcze zachować."

Widzimy więc, że wśród samych anarchistów istnieje nietylko różnica poglądów, lecz nawet otwarta walka, że do stronnictwa tego należą jednostki całkiem do siebie niepodobne, różniące się sferą, z której pochodzą, stopniem wykształcenia i wychowania, a wreszcie temperamentem, umysłem i charakterem. Z różnic tych ani społeczeństwo ani rządy nie zdają sobie sprawy.

Po morderstwie Caseria wytoczono proces pewnej grupie anarchistów i nietylko sąd musiał ich ułaskawić, lecz społeczeństwo rozjątrzone świeżo popełnioną zbrodnią rozczulało się obroną podsądnych, którzy same piękne i wzniosłe, choć może niepraktyczne wypowiadali poglądy. — Podsądnymi byli teoretycy anarchii — zbrodniarzem anarchista wojujący. Między jednymi i drugimi jednak łączność pewna istnieje i zaprzeczyć się nie da: doktryna jest dla jednych i drugich ta sama, pobudki tylko i uczucia ich dzielą, co może służyć za nowy dowód, że o wartości człowieka nie teorye przez niego wyznawane — lecz uczucia i czyny stanowią. — Dubois zdumiony wielką rozmaitością typów, z jaką się wśród badania życia anarchistów spotykał, zapragnął czytelnikom swym w krótkim szkicu przedstawić ogólną psychologią anarchisty*). Zadanie to musimy uważać w pewnej mierze za chybione, a wady podanej charakterystyki wypływają z metody, która do jej utworzenia posłużyła.

Po prostu rozpisano do pewnej liczby anarchistów zapytania: „W jaki sposób i dla jakiej przyczyny zostali anarchistami?"

Że na tej drodze można było pewną ilość ciekawych zebrać spostrzeżeń — to nie ulega wątpliwości, i o tem jednak zapomnieć nie trzeba, że to, co człowiek sam o sobie mówi, tylko do pewnego stopnia mieć może znaczenie!

Na mocy przeprowadzonej ankiety, Dubois dochodzi do wniosku, że cechami charakterystycznemi anarchii są: duch buntowniczy, miłość wolności, indywidualizm, altruizm, poczucie sprawiedliwości. umysł logiczny i badawczy i skłonność do propagandy.

Z tych pojedyńczych rysów, jak widzimy, tworzy się wizerunek dość pochlebny, co zadziwiać nie może wobec tego, że oryginał pośrednio sam siebie malował. Nie myślę twierdzić, aby wizerunek ten zupełnie pozbawionym miał być cech podobieństwa, owszem, niektóre z wymienionych powyżej właściwości, tak wydają się nieodłącznym wynikiem teoryi samej, że niepodobna sobie bez nich anarchisty wyobrazić. Do takich należą: duch buntowniczy, miłość wolności. indywidualizm. Już skłonność do propagandy naprzykład — jest mniej ogólną cechą; wszakże Dubois sam wspominał o znacznej liczbie anarchistów, którzy się z żadną grupą nie łączą i w żadnych dyskusyach udziału nie biorą, gdyż są zbyt krańcowymi indywidualistami, aby mieli choć przemijająco stawać się cząstką jakiegoś zbiorowego ciała. W każdym razie rys ten możnaby jeszcze większości anarchistów przypisać. Nie tak się rzeczy mają z poczuciem sprawiedliwości i z altruizmem. Są to cnoty, które może wszyscy anarchiści samym sobie przypisują, którymi jednak większość poszczycić się nie może. To, co poczuciem sprawiedliwości nazywają, jest u wielu jednostek zazdrością i żądzą zemsty, a tak zwany przez nich altruizm u znacznej większości obejmuje jedynie pewną sferę ludzi cierpieniami, potrzebami i dążeniami związanych. Niepodobna przecież przypisywać altruizmu sprawcom wybuchów dynamitowych, które znaczną ilość zupełnie niewinnych pochłonęły ofiar, nie można też z poczucia sprawiedliwości wywodzić morderstwo Carnota lub apoteozy Ravachola. Mimo przypisywanej im przez Dubois, a raczej przez nich samych logiki są to ludzie w wysokim stopniu niekonsekwentni, miłujący wolność, a usiłujący teroryzować społeczeństwo, — egzekucye przestępców nazywający rozbojem — a zamachy wymiarem sprawiedliwości, słowem, ludzie, mający całkiem inną miarę do ocenienia własnych czynów, inną miarę do oceniania cudzych. Nie świadczy to przecież ani o logice, ani o poczuciu sprawiedliwości. Zresztą niektórzy teoretycy anarchizmu, zacni marzyciele, filantropi, którzy ze swych pragnień i rojeń tworzą przyszły gmach społeczny, stanowią też wyjątki odznaczające się altruizmem i miłością sprawiedliwości — o ogóle jednak tego powiedzieć nie można.

Zdarzają się zresztą w naturze ludzkiej dziwne niekonsekwencye: czasem w jednym i tym samym osobniku widzimy w połączeniu litość i okrucieństwo. Ludwika Michel, która tak czynną i krwawą rolę odegrała w czasie komuny, w więzieniu litowała się nad myszą, której dziurę zalepiono i sama wyskrobała otwór, aby biedne stworzenie wypuścić na wolność. Takie sprzeczności spotykamy przedewszystkiem u fanatyków wszystkich wieków, a powtarzają się w ludziach, wyznających najrozmaitsze idee. Ludzie tacy stają się po prostu narzędziami pewnego ruchu, fanatyzm prowadzi ich do monomanii, graniczącej z obłędem, tracą poczucie rzeczywistości, a świat otaczający widzą tylko w sztucznem oświetleniu własnych rojeń. Umysły zdrowe uważają ich zwykle za waryatów, to też nie powinno zadziwiać twier-

* Do napisania tego rozdziału użył pomocy p. Hamon, autora dzieła p. t. „Psychologia zawodowego żołnierza".

---

13)

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI

MAURYCEGO ZYCHA.

(Ciąg dalszy.)

22 czerwca.

Podoficerstwo moje jest, że się tak wyrażę, synekurą: nie wymaga spełniania obowiązków, przywiązanych do tytułu, brzmiącego tak mile i do naszywek ze złoconego szychu, błyszczących tak żółto. Dźwignij niedbale rękę do czoła, gdy ci na ulicy prości żołnierze salutują, — oto wszystko. Korzystając z okoliczności tak dalece przyjaznych, wałęsałem się samopas po okolicy i uprawiałem bez przerwy obszerną niwę melancholii. Czasami, ale tylko czasami, widywano mię na placu, gdzie hołota ćwiczy się w sztuce strzelania do celu. Czeremisow zwrócił w końcu uwagę na moje wolne próżniactwo i dał mi do wykonania przyjemną misyję, a mianowicie — kazał znaleźć w okolicy dwór taki, gdzie żołnierze z jego roty mogliby mieć na dogodnych warunkach zajęcie przy żniwie. Żadna na kontynencie głowa nie mogła wykombinować nic lepszego! Tego właśnie dusza moja pragnęła gorąco.

Przed tygodniem, przywdziawszy uniform najlżejszy, bo tylko żołnierską białą koszulkę bezpośrednio na kształty, wziąłem patyk w rękę i wymaszerowałem, co się nazywa prosto przed siebie. Gdziem ja nie był! Docierałem aż prawie do Buga, błąkałem się po najbardziej nieznanych drogach i ścieżkach i wstępowałem do przeróżnych siedlisk szlacheckich. Nie mogę powiedzieć, aby to był kraj nadzwyczajnie wesoły. Na piaszczystych zagonach rośnie rzadkie, płowe żytko, na sapowatych rozdrożach zielony owies — rychlik.

Między żytem a owsem bieli się tatarka i zielenią smugi pastwisk i łąk. Dokoła równy, suchy las wyciąga ramiona. A jak się trafi gdzieniegdzie porządne pole za lasem, to możesz, wędrowny podoficerze, iść forsownym krokiem od południa do zmroku, nie spotykając po drodze, ani wsi, ani człowieka, ani domowego zwierzęcia, ani nawet żandarma. Pole z jego lichem zbożem, przepaścisty piasek — „szczyrek" na drodze, porżniętej kolejami, które plączą się i wiją w beznadziejnem poszukiwaniu twardszego dla kopyt końskich gruntu, niskie sosienki. jałowce, kamienie i dopiero na krańcu horyzontu las siwy. Zarabiając się w „szczyrku" po kostki, prażąc na słońcu, marzy wędrujący podoficer, że za owym dalekim lasem napewno ujrzy ziemię obiecaną, płynącą latifunyami i pałacami. A tymczasem za „hajem zełeneńkim" znowu płaska, pusta i przestrona równina,.. Dla odmiany i rozweselenia masz tam „ogrody" panów — acanów, szlachciców zagonowych, i gdzieś daleko w jakiejś dużej wsi — cerkiew moskiewska.

Dziwnie niesmaczne uczucia ogarniają przyzwoitego ateusza, który na te nędzne pola przypadkowo zabłądził. Któżby żałował zburzonych kościołów, któżby się nie cieszył z rozpędzenia na cztery wiatry wydrwigroszów w sutannach?

Szkoda jednak, że się to rozpędzenie odbiło tak mocno na plecach kultury. Niema coprawda sutan i rewerend, ale za to są *riasy*; niema tonsur, ale za to niestrzyżonych koltunów jak naprał. A my tutaj w Europie nie mamy wcale potrzeby sadzenia i pielęgnowania objawów cywilizacyi azyatyckiej. Przy tem — jeśli się wwiedzieć w historyą tych pól, wpatrzeć w straszliwą i niezmierną noc pańszczyzny, wmyśleć w dzieje zażartego rozgrzebywania tych piasków nieurodzajnych na skwarze słonecznym i w słoty bezlitosne przez półnagie stada antropoidów, których jedynym uczuciem był smutek, a jedynym trybunem — Chrystus. Przed wiekami nauczyli się wierzyć w Pocieszyciela stokroć smutniejszego niż oni, w dobrotliwego Władcę, który nawet najbiedniejszych mi-

dzenie niektórych, iż anarchistów należałoby nie w więzieniach, lecz w szpitalach zamykać. Środek ten może nie okazałby się skutecznem przeciw anarchii lekarstwem, w każdym razie jednak byłby mniej szkodliwym niż kary śmierci, które przysparzając męczenników wyznawcom niebezpiecznej doktryny, podsycają ich gorliwość i fanatyzm.

Kto wie, czy nie najlepszem lekarstwem przeciw dążeniom anarchistów byłoby pozostawienie im pola wypróbowania w praktyce swych zasad. Naturalnie przeprowadzenie takiego planu postępowania napotkałoby wiele trudności, nie byłoby jednakże niemożliwem, gdyż w rzeczywistości istniały próby anarchistycznych kolonii. Dzieje jednej z nich*) kończą książeczkę p. Dubois — a jakkolwiek przytacza je ze sprawozdania anarchisty, a zatem przedstawione tendencyjnie, jednakże mówią nam one o bardzo smutnych rezultatach bezgranicznej wolności i o bardzo licznych odstępstwach od przyjętej zasady. Kolonia utworzona na ziemi dziewiczej i niesłychanie żyznej, w warunkach cywilizacyi zupełnie pierwotnych miała naturalnie znacznie lepsze szanse do zastósowania swego systemu, niż, gdyby egzystować miała w świecie cywilizowanym i wszelkie zdobycze kultury i przemysłu utrzymać. Mimo to jednak praca bezładna nie wystarczała na wyżywienie ludności i nasi anarchiści, chcąc się od nędzy uchronić musieli przyjmować zarobek od brazylijskiego rządu. — Zasada „wszystko dla wszystkich“ smakowała im zresztą tak długo tylko, póki wszystkiego dla wszystkich było dosyć; w gorszych czasach, każdy starał się zachować cośkolwiek specyalnie dla siebie i swej rodziny, a wreszcie odłączyć się od towarzyszy i starego systemu się chwycić. — Wielu kolonistów powracało do zgniłego europejskiego społeczeństwa w przekonaniu, że protegowanie anarchii w dobrze zorganizowanem państwie jest czasami wygodniejszem trochę, niż wcielanie w życie swej idei tam, gdzie wstrętnych mieszczan i stokroć przeklętego kapitału braknie.

I. Moszczeńska.

*) Kolonia „Cecylia“ w Brazylii.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Główny organ czeskiej Omladyny, wychodzący w Kolinie „*Radikalni Listy*“ taką daje odprawę młodoczeskim „Narodnim Listom“ za napaści Młodoczechów na to najmłodsze stronnictwo:

„Dotąd pomijaliśmy milczeniem impertynencye i podjazdowe napaści „Narodnich listów“ na nasze stronnictwo. Zaczepiano nas tam mimochodem tylko, aż tu naraz poczęto strzelać działami cięższego kalibru, przestano kąsać, a zaczęto bić.

„Dnia 17 września umieściły „Narodni Listy“ artykuł pięciołamowy, w którym szerzą o nas kłamstwa, jakie zwykły rozsiewać pisma żydowsko-niemieckie, oczerniają nas równie co do stanowiska, które zajmujemy wobec czeskiego prawa państwowego.

Dnia 20 września napisano, że nasza „„dziecinna naiwność““ równocześnie ze starą złośliwą katedrową nadętością (aluzya do prof. Masaryka i realistów; przyp. Tł.) osłabiają opozycyą, kompromitując jej dążenia i działalność.

Dnia 23 września nazywają nas „Narodni Listy“ „realistycznymi postępowcami“, spekulantami zawiedzionymi, równymi najjadowitszemu smokowi niemieckiemu, egzystencyami katylinarskiemi i t. d. wszystko to w jednym artykule objętości półtora-łamowej.

„Największe atu wygrano atoli przeciw nam w dniu 25 września. Tu nie wstydziły się „Nar. Listy“ przedrukować artykuł klerykalnego „Czecha“ wymierzony przeciw prądom socyalistyczno-radykalnym organizm nasz zdrowy nurtującym. Stronnictwo młodoczeskie tylko w skromnej części winne jest temu co postępowi zbrojili. Naszem rzemiosłem jest śledzenie, szpiegowanie i powokacya policyjna. Jesteśmy dobrowolnie detektywami! Nasze rzemiosło podejrzane, jesteśmy uwodzicielami i fałszywymi prorokami.“...

„Z tego streszczenia pobieżnego artykułów organu młodoczeskiego, czytelnik osądzi, jaka to wiedzie się przeciw nam walka. Nad sposobem i szlachetnością środków słów tracić nie warto. Spotykamy się tutaj ze staremi i znanemi dobrze właściwościami tego organu, który tam, gdzie nie śmie własnego wypowiedzieć zdania, przytacza pokrewne mu duszą i sumieniem głosy dzienników à la „„Pester Lloyd““, „„Neue Fr. Presse““ i „„Czecha““.

„Ze zadziwieniem zapyta się każdy z naszych czytelników, czemu tę walkę z nami rozpoczęto w czasie, kiedy zastępcy i reprezentanci naszego ruchu oświadczyli zgodnie dnia 4 września, że chcą pozostać nadal w stronnictwie młodoczeskiem i z radością przyjęli do wiadomości, że nam wyznaczono miejsce poczesne obok przewódzców młodoczeskich. Widocznie organ stronnictwa ma swój własny rozum, prowadzi politykę swoją, inną aniżeli oficyalni jego przedstawiciele. Zarząd stronnictwa młodoczeskiego wie dobrze, jak wspólnym naszym nieprzyjaciołom bardzo zależy na tem, aby wywołać wśród nas nieporozumienie i swary, więc bierze nas tak, jakimi jesteśmy; papież atoli: „„Narodni Listy““ tego uczynić nie chcą. One nie przeniosą tego, że jest ktoś, co się w prochu przed nimi nie korzy i ma o rzeczach swój własny sąd. „„Narodni Listy““ przyjmą nas wtedy tylko, gdy damy sobie na usta włożyć kaganiec, gdy przestaniemy być sobą, odrzucimy wszystko czem się od nich różnimy, na cośmy właśnie dumni. Teraz widocznem, kto podkopuje zgodę, kto przeszkadza rozwojowi ruchu opozycyjnego w Czechach. My winowajcami nie jesteśmy. My garniemy się do pracy.

„Napaści organu młodoczeskiego nie mącifyby wcale spokoju i równowagi umysłu. Przez niego odepchnięci nie tracimy na jakości towarzystwa, ale mając na względzie wyższe nasze cele narodowe, nie możemy pominąć sposobności wyrażenia naszego ubolewania, że właśnie pismo, które ma być organem stronnictwa, nie pracuje nad konsolidacyą jego, nad polepszeniem sytuacyi naszej wewnętrznej, ale przeciwnie swoją bezwzględnością i drażliwym autorytetem staje się główną przyczyną zamięszania.

„Zresztą robimy rozdział pomiędzy stronnictwem a „„Narodnimi Listami““. Walki na śmierć i życie przeciw stronnictwu, którego cząstką jesteśmy, wieść nie będziemy, ale broń podnosimy przeciw temu pismu, którego już ze stronnictwem nie utożsamiamy. Sądzimy, że tę różnicę pomiędzy „„Nar. Listami““ a stronnictwem zrozumieją inni, a już to samo byłoby wygraną z naszej strony, również i korzyścią stronnictwa“.

* * *

Rosyjski „*Graždanin*“, organ ks. Meszczerskiego, poświęca z powodu hecy antypolskiej w prasie niemieckiej artykuł stosunkom niemiecko-polskim. W artykule przydłuższym wykazuje złe skutki polityki polskiej, popierającej trójprzymierze i taką kończy wywody swoje uwagą:

„...Gdybyśmy się my Rosyanie powodowali wobec Polaków li tylko nienawiścią ślepą, tobyśmy im jako ich wrogowie nic chyba gorszego nie mogli życzyć jak odbudowania Polski przez Prusaków i trójprzymierze“...

* * *

Tryesteński „„*Il Pensiero Slavo*““ w artykule wstępnym omawia dzisiejszą sytuacyą polityczną w Austryi, oraz stosunek Słowian do

---

luje. Z obrazem Jego zrosła się mowa, obyczaj i cały zakres obrzędów.

To też ta wiara ma korzenie długie, jak jałowiec — i panowie tyrani napocą się jeszcze, zanim ją wydrą.

Pierwszem dominium, o które po drodze zawadzić musiałem był Ciapiec Lacki. Na krańcu jakby rozległego płaskowzgórza stoi obszerny dwór murowany między kępami lip, topól i kasztanów. Duży zapuszczony ogród zsuwa się po pochyłości na dół, a otaczające go parkany docierają aż do stawu i trzesawisk w nizinie.

Była może godzina czwarta po południu, gdy wszedłem na dziedziniec tego dworu w nadziei, że tam napewne ubiję interes. W cieniu grupy drzew, stojących przed gankiem na środku owalnego gazonu siedziało przy stole dosyć liczne towarzystwo. Skoczyła przedewszystkiem na moje spotkanie zgraja małych i dużych psów; z wielkim trudem rozpędzili ją obywatele, zajęci roznoszeniem imbryków z kawą i tacz bułkami. Następnie zwróciły się na mnie oczy całego towarzystwa. Jedna z pięknych dam przyłożyła lornetkę i, pochlebiam sobie, nie żałowała podjętej w tym kierunku fatygi. Druga, wprawdzie bez lornetki, ale za to szczegółowo, jak przez mikroskop, oglądała mię od czubka do obcasów. Od razu poznałem, że te smaczne kobiety są, albo zawiedzionemi mężatkami, albo wdowami haniebnie stęsknionemi. Obiedwie po wypiciu kawy powstały od stołu i, ująwszy się w pół, poczęły spacerować dokoła gazonu. Prowadziły pół głosem następującą rozmowę:

— *Vois tu ce petit russe? quel beau gars! Est-il assez bien fait celui là?*

— *Si... Mais quelle ampleur en pantalon!*

— Rzeczywiście — cha — cha...

— *Et quel ravissant duvet à la lèvre... supérieure... ma foi, il est tout jeune!*

— *Tu te trouves mal?*

— *Pas le moins du monde! — plutôt, bien...*

— *Oh, oui! celui te suffirait probablement?*

— *Et à toi?*

— *Oh! après toi, sûrement non...*

— *Et avant moi?*

— Daj pokój... Czyż to nie warto połowy życia? Słyszałem urywki tego dialogu w przerwach między jednem a drugim zapytaniem samego dziedzica. Siwowłosy potentat rozpytywał mię szczegółowo o warunki. Mówił licho po rosyjsku, ale usiłował kłaść akcenty na właściwych sylabach. Poznałem go od razu: był na balu u pana Kłuckiego i grał w karty z pułkownikiem, gdy mnie stamtąd wyrzucano. Skarżył się przedemną na robotę żołnierską przy żniwie, zapewniał, że nigdy nie warto najmować „tego bydła“, a jednak usiłował załatwić interes. Chcąc mię widocznie przejednać i zmiękczyć, kazał jednemu z synów, czy krewniaków, aby mi wyniósł kieliszek wódki. Podziękowałem dość szorstko i prawie bez pożegnania zabrałem się do odwrotu. W pobliżu bramy, wymijając piękne niewiasty, uchyliłem czapki z *nonszalancyą* i rzekłem mniej więcej po francuzku:

— *Vous-êtes en erreur, mesdames, en me prenant pour un hercule... Ce ne sont que fausses apparences, rien que* pozory, łudzące pozory! *Adieu, mesdames...*

Urocze damy przybrały dostojne miny cnotliwych wdów, czy tam małżonek, i odeszły, rozmawiać o rzeczach wzniosłych, szlachetnych i pięknych. Wieczorem już przyszedłem do Czerniewa, folwarku p. Brzeszczotowicza, o którym, jak się później dowiedziałem, złośliwa fama głosi, że niegdyś wieprze pędzał do granicy pruskiej. Jest to niewielki człowieczek, łysy, jak melon i wrzaskliwy, rzeczywiście jak wieprzownik. Przyjął mię w swoim gabinecie. Biegał po pokoju, ogryzał paznogcie i patrzał na mnie z podełba. Czasami zatrzymywał się i gadał, patrząc wtedy na sufit:

— Za nic na świecie! Czterdzieści kopiejek.. Nie... Za co, za co? Niesłychane ceny!

— Jakto za co? Za czternaście godzin żniwa.

To są zaiste niesłychane ceny!

— Aha, — caca — caca! Ja się będę zabawiał w rozczulenia i pójdę w świat z torebkami...

— Ja pana przecie nie zmuszam do rozczuleń, — rzekłem wychodząc. Żałuję z całego

monarchii habsburskiej i pisze jak następuje: „Koalicya niemiecko-polska, której satelitą stał się klub ks. Hohenwarta, wycisnęła na polityce austryackiej swoje znamię odrębne. Zdaje się, że mutatis mutandis rząd obecny stara się prowadzić politykę antysłowiańską z roku 1860. Napróżno wysyłają Słowianie deputacye do tronu, aby na miejscu najwyższem krzywdy swoje przedstawić! Dziś powinniśmy się przekonać wszyscy, że te deputacye są bez celu, że jedynem naszem hasłem być powinno: pomóżmy sami sobie!

„Słowianie monarchii naszej powinni przedewszystkiem siłami wszelkiemi dążyć do wzajemnego poznania siebie, bo stąd tylko zaczerpnąć mogą siły moralnej i odwagi. Na czele tego ruchu powinni stanąć Czesi, jako pierwsi w ruchu słowianofilskim z narodów słowiańskich w Austryi. Nie powinniśmy przedewszystkiem kontentować się, jak to czynią Polacy, małemi ustępstwami; ale dążyć do osiągnięcia możliwej w granicach państwa swobody. Kwestya słowiańska jest kwestyą egzystencyi dla naszej monarchii. Posłowie słowiańscy nie powinni ograniczać się na działalności w kraju własnym, ale naocznie przekonywać się o potrzebach pobratymców w różnych ziemiach, aby interesów słowiańskich skuteczniej bronić. Praga ma obowiązek utrzymywania stosunków nietylko pod Bernem i Opawą, ale i ze Lwowem, Czerniowcami, Zagrzebiem, Lublaną, Tryestem, Splitem, św. Turczańskim Marcinem i Nowym Sadem. Tym sposobem „„złota““ Praga stałaby się głową ciała słowiańskiego: tym sposobem zostałaby opozycya słowiańska silnie zorganizowaną.

„Tymczasem Czesi nie poczuwają się do tego obowiązku. Niedawno temu odbył się wiec mężów zaufania czeskich, na którym kwestya organizacyi stronnictwa słowiańskiego nie przyszła pod obrady wcale.

„Naszem zdaniem dwie rzeczy byłyby zasadniczemi w programie słowiańskim: wznowienie kościoła Cyrylo-Metodyjskiego (la politica solidarietà di tutti slavi della monarchia ed il ristabilmento della Chiesa Cirillo-Metodiana.)“

„Dziś Słowianie są cieniem w Austryi, o który nikt się nie troszczy; solidarność zrobiłaby ich ciałem, któreby na szali zaważyło. Tym też sposobem tylko wyzwolilibyśmy monarchią z pod wpływu elementów egoistycznych.

K.

LITERATURA I SZTUKA.

Strącona.

Ubrałem ciebie w kolory tęczowe,
Jasne jak słońce,
I w aureole wieńczyłem twą głowę
Promieniejące.

I zapatrzony w ten płomień, bijący
Z nad twego czoła
Widziałem w tobie olśniony i drżący
Ziemi anioła. —

A tyś rzuciła blasków i promieni
Złociste przędze,
I pokalały je błotem tej ziemi
Tej ziemi nędze.

I zwolna bladła tych świateł korona,
I było ciemno,
Kiedyś ty z wyżyn podniebnych strącona
Stała przedemną. —

Dziś — nie za tobą płacze moje serce,
I w bolu jęczy,
Tylko tych blasków żal mi w poniewierce
I jasnej tęczy.

Tylko samotny stoję wśród żywota
Jak dąb jesieni;
Listopadowy wiatr koroną miota,
Liść się rumieni.

I w dal poleciał niewrotnemi szlaki
Mój sen kochany,
Jak odlatują wędrujące ptaki
Za oceany.

St.

Książka St. Koźmiana o 1863 r.

(Ciąg dalszy).

II.

Dla lepszego i dokładniejszego przekonania się o stanie rzeczy, wysłało *Grono krakowskie* (t. j. pp. Koźmian i Tarnowski) do Paryża Ludwika Wodzickiego. Przybył on w chwili pomyślnej, kiedy, rzeczywiście mocarstwa okazywały chęć zajęcia się naszą sprawą. Zewsząd Wodzickiemu zaręczano, że *„nigdy jeszcze od rozbioru sprawa polska nie miała tak pomyślnych widoków europejskiego rozwiązania“*. A więc powstanie, opierając się na słowach p. Koźmiana, lubo jak on twierdzi, bezrozumne, mogło przecież zaważyć pomyślnie na szali narodu, przywrócić mu nawet egzystencyą państwową. I *Hotel Lambert* i ministrowie: Dronyn de Lhuys i Walewski i wreszcie powiernik cesarza Napoleona Mocquard, zgadzali się, że widoki są jak najlepsze: „Ministrowie zachęcali, rozpalali Wodzickiego i poniekąd pchali przez niego tych, o których wiedzieli, że nie pozostaną obojętnymi na jego słowa“. Walewski zapewniał, iż Francya, Anglia i Austrya zażądają „przywrócenia w Królestwie stanu rzeczy z przed roku 1831, z rozszerzeniem terytorjum, do którego ten stan rzeczy ma być zastosowanym“, a gdyby Rosya odpowiedziała odmownie, „wejdzie na porządek dzienny utworzenie Polski niepodległej z arcyksięciem austryackim na tronie.“ Ale chcąc dojść do tego potrzeba *zapewnić trwałość i rozszerzyć granice powstania*. Toż samo, ale jeszcze gorzej mówił Mocquard, gdyż *„rozszerzenie terytoryalne powstania może wpłynąć na rozmiary, w których zażądanem i objętem będzie uznanie praw narodowych.*

Przyczyną tej zmiany frontu mocarstw była wspomniana już konwencya między Rosyą a Prusami, zawierająca zobowiązania sekretne; Dla Napoleona otwierała się sposobność rozwiązania jednocześnie sprawy granic Renu. Drouyn de Lhuys żądał od Prus wytłomaczenia się, a jednocześnie wysłał notę do Londynu z propozycyą dyplomatycznego działania w sprawie Polski (17 i 19 lutego). Anglia podejrzywając zamiary Napoleona co do Renu, nie chciała zaczepiać Berlina, ale radziła wprost odnieść się do Rosyi. Rząd pruski zresztą konwencyą składał *ad acta*, a to wskutek rozpraw w sejmie pruskim, które ją potępiały.*).

2go Marca otrzymano w Petersburgu notę Russella żądającą amnestyi i powrotu do stanu rzeczy z 1815 roku. Napoleon nie chcąc stawać na gruncie traktatu wiedeńskiego, wolał listownie żądać od cara „wspaniałomyślnego załatwienia sprawy polskiej“. Zjawienie się cesarza i cesarzowej na balu u ambasadora austryackiego Metternicha zrobiło wrażenia. Wkrótce potem cesarzowa Eugenia na balu w Tuileryach zagadnęła Metternicha, czy Austrya jest „zupeł-

*) Wniosek tej treści Bochum-Dolffsa przyjęto w sejmie pruskim 246 głosami przeciw 57miu. K. B.

---

serca, że w owej chwili nic nie wiedziałem o spacerach pana Brzeszewtowicza do granicy pruskiej... Byłbym mu przylepił takie słowo, że to — cha!

Trzeba było szukać noclegu w karczmie. Szynkarz tamtejszy pozwolił mi przespać się w stodole na świeżem sianie. Nazajutrz raniutko poszedłem w dalszą drogę ku Bugowi. Zawadzałem o wsie, prowadziłem rozmowy z brodatymi chłopami, o ile zemną rozmawiać chcieli.

To tak wygląda ów „fakt dokonany!“...

Rzuciliśmy tę Ruś na pastwę czarnej reakcyi, nie mamy dla niej nietylko „ani jednej skałki“, ale nawet ani jednego uczucia, a ona, sierota, złem słowem nas nie wspomina. Jedni z nas umieją tylko wzdychać na wspomnienie o tej sprawie, ale nie stworzą nic nadto, inni nie zdążyli jeszcze wyszukać w niemieckim kodeksie i przetłomaczyć na polskie paragrafu, co do tych chamów. A ten paragraf napewno tam być musi... Ojcowie Jezuici gmerają kiedy niekiedy w tym interesie swemi niezawodnemi paznogciami... — Tymczasem naiwny podlasiak bawi się w Pratuliny, Szpaki, Kornice i całkiem o to nie dba, że jest tym najśmielszym, tym bohaterskim junakiem, co pierwszy zaczepia wspólnego wszystkim nieprzyjaciela i szlachetną swą piersią „zgniły“ zachód zasłania...

Nareszcie w Ciepielu rządca p. Przewalca najął do robót moich żołnierzy na warunkach pożądanych. Spisałem z tym obywatelem półurzędową umowę, wypiłem kilka szklanek piwa, nagadałem się o europejskiej polityce i pod wieczór wyruszyłem w drogę z mocnem postanowieniem maszerowania przez noc całą i przybycia do Wieprzowodów na rano.

W ciągu tych kilku dni słońce przepaliło mię na wskroś, jak cegłę, a dokuczliwe widoki i obserwacye znużyły moralnie. Rad byłem bardzo, że już za Ciepielem niema ani jednej wsi rusińskiej, że już idę po ziemi czysto polskiej. Cierpienie ludzkie jest jakby chorobą naszej duszy. Nie patrzeć na nie, tracić je z oczu, znaczy powracać do pełni sił.

Wtedy egoizm roznieca w sercu jakąś ciągle tlejącą iskrę radości, której wspomnienie najbardziej ponure zadmuchnąć nie jest wstanie. To uczucie tak cyniczne i tak proste napełniało mą duszę, gdy szedłem szerokiemi krokami ku Wieprzowodom. Zachód słońca zastał mię na jednem z owych pól, o których wyżej była mowa.

Na wschodzie gromadziły się chmury ciężkie, granatowe, powleczone ponurym, rdzawym blaskiem gasnącej zorzy. Błyskawice latały po nich bez ustanku, a głuchy grzmot huczał niby pod ziemią. Burza szła stronami omijając spragnione deszczu „szczyrki“ podlaskie. Kiedy niekiedy mała chmureczka odbiła się od stada, przeciągnęła szybko nad moją głową, rzuciła kilka dużych kropel, które spadły w sypki piasek pustkowia, ciężko jak ołowiane śruciny — i pożeglowała na łeb na szyję ku dalekim błyskawicom.

Nastała noc ciemna, choć oko wykol. Zefiry, akwilony i zwyczajne wietrzyki ucichły, błyskawice migały coraz słabiej... Brnąłem po piasku, z determinacyą zgadzając się na to, że napiję się wody aż dopiero w Wieprzowodach, jeżeli notabene trafię do takiego miasta i jeżeli przedewszystkiem dziki zwierz nie poźre mię na tej puszczy.

Usiadłem na kamieniu przydrożnym, aby odpocząć i zapalić papierosa. Wtedy dosłyszałem dalekie — dalekie szczekanie psów w kierunku ukośnym do mojej drogi. Natychmiast ruszyłem w tę stronę i po upływie dobrej godziny zbliżyłem się do długiego łańcucha chałup. Skierowałem me kroki ku pierwszemu budynkowi i trafiłem na tylną wrótnią stodoły. Pić mi się chciało tak dalece, że nie zwracałem uwagi na niebezpieczeństwo, grożące moim łydkom ze strony zębatej i szczekającej nocnej straży tej wioski. Przelazłszy przez płot, z wielkim impetem wpadłem w gnojówkę, z nieporównaną zręcznością wyskoczyłem na brzeg i zbliżyłem się ostrożnie do okna chaty, w której świeciło się jeszcze. Spora gromadka bab, pa-

nie nieczułą na los tych biednych Polaków?"

— „Nie tak bardzo, jak mniemasz Naj. Pani, wcale nie", odparł Metternich. Nastąpiła dłuższa rozmowa, a zaraz nazajutrz cesarz wezwał do siebie Metternicha i naszkicował przed nim plan wspólnego postępowania, tak w sprawie polskiej jak i w innych sprawach europejskich.

Andrzej Edward Koźmian donosił „*Czasowi*", że posłowie rosyjski i pruski rozpuszczają wieści o upadku powstania i zaprzeczają ruchowi prawa nazywać się narodowym, ponieważ lud wiejski jest mu nieprzyjazny, a szlachta trzyma się na uboczu. Zaręczają oni, że „*jestto tylko wybuch demagogiczno-socyalny w związku z rewolucyą powszechną*", (to samo mniej więcej mówili i pisali później Stańczycy — dziwna zgodność w zapatrywaniach!) Stąd też korespondent nawoływał do wytrącenia z rąk tych posłów *broni kłamstwa, do „udowodnienia wstrętu do pozorów nawet*, bo pojawienie się tych pozorów, *choćby tylko w indywiduach, byłoby występkiem przeciw sprawie*."

Kiedy Rosya na francuskie wezwania odpowiedziała odmownie (na początku marca) Napoleon żądał, aby Metternich udał się do Wiednia, ofiarując Austryi przymierze na podstawie nakreślonego planu i dodał: „*jeżeli Austrya zechce działać w sprawie Polski, gotów jestem do wielkich na jej korzyść ofiar*". Z Wiednia donoszono, iż Napoleona uraziła odpowiedź petersburska, a ks. Gramont ambasador francuski w Wiedniu „nagle wyzdrowiał, stracił chrypkę i zaczął mówić o Polsce". W tym to właśnie czasie Ludwik Wodzicki przebywał w Paryżu. 12go Marca ks. Metternich wyjechał do Wiednia.

„Była to chwila — pisze autor — poważna, jedyna, w której w r. 1863 sprawa polska wstępowała na drogę, po której znalazłszy niezbędne warunki powodzenia dojść mogła do pomyślnego celu: chwila w której bez lekkomyślności i złudzeń można było korzystne dla niej czynić rachuby." O działaniu jednak bez czynnego i wojskowego wystąpienia Austryi myśleć nie było można. Zdawało się przecież, iż Austrya skorzysta ze sposobności zabezpieczenia się ze strony Rosyi jeograficznie i etnograficznie, tem więcej, iż Prusy występowały z wrogiemi dążnościami, a należało też Austryi pomyśleć o odzyskaniu strat terytoryalnych. Raporta z Londynu popychały Napoleona do działania.

Dla okazania, że powstanie jest narodowem, że wszyscy potępiają Wielopolskiego: jego system, polecono *z Hotelu Lambert*, na życzenie rządu francuskiego, aby członkowie Rady Stanu i Rad powiatowych, oraz miejskich w Królestwie podali się do dymisyi. Sprawie tej poświęca p. Koźmian połowę czwartego rozdziału swej książki.

Polecenie *Hotelu Lambert* uznaje za bardzo zgubne, „gdyż zerwano ostatnią nić, mogącą nawiązać zbawczy kompromis". Bardzo to ładnie powiedziane w 30 lat po skutkach. Ale czy można było i należało, polegając na interwencyi mocarstw, mając zupełną w niej nadzieję, myśleć jednocześnie o jakim „zbawczym kompromisie".

Członkowie Rady Stanu otrzymali właśnie zaproszenie na wieczór do namiestnika Królestwa W. ks. Konstantego. Zebrali się na naradę, co uczynić, bo zaproszenie przyszło jednocześnie z wiadomością o krwawem starciu z powstańcami. Jeden był tylko, który pójść radził (nazwiska p. Koźmian nie wymienia). Nie poszli, obrazili Konstantego i od tego czasu „odcięci od wszystkiego byli malowanymi". Klaczko i Kalinka nakłaniali ich do dymisyi. Wysłali Pawła Popiela do Paryża, chcąc dowiedzieć się czy dymisya jest życzeniem cesarza Napoleona. Zanim jednak Popiel wrócił, rzecz rozstrzygnięto: oprócz Władysława Małachowskiego i Aleksandra Ostrowskiego, wszyscy podali się do dymisyi. Popiel wraca i oświadcza: co do dymisyi niepotrzebny jest pospiech, ale *jasnem jest położenie, iż trzeba na konia siadać*. Co za dziwna logika, zgodna z frazesem p. Koźmiana o „zbawczym kompromisie." Wsiadać na konia, to znaczy powoływać wszystkich do powstania, popierać je, stanąć na jego czele — i pozostać na urzędach! Ów radca, co był opozycyonistą, pierwszy prosił o uwolnienie od obowiązków. Miał potem audyencyą u W. K. Konstantego, który w końcu rozmowy wyraził swój żal z powodu jego ustąpienia, ale uznał lojalność postępowania. Dzięki tej rozmowie zapewne pozostał na miejscu, kiedy innych kolegów jego wywieziono. Niebawem potem wszyscy litewscy marszałkowie szlachty i pośrednicy mirowi (sędziowie pokoju) w liczbie 250-ciu podali się do dymisyi.

Żądano z Paryża, aby odjąć powstaniu znamiona rewolucyjne, a więc zamiast władzy tajnej należy powołać do życia dyktaturę. „Było to anomalią, sądzi p. Koźmian, aby z chwilą zbrojnego działania rząd narodowy był tajnym t. j. pozostał spiskiem". Sąd to bardzo śmiały, bo można mówić o rządzie jawnym tam tylko, gdzie jest dla niego miejsce. Utworzenie jego zagranicą było wprost niemożliwem i niepraktycznem. W Warszawie istnieć nie mógł, nie mógł istnieć stale i w żadnej innej miejscowości Królestwa. A więc miał się chyba przyczepić do któregoś oddziału powstańczego, z których każdy był zagrożony przecież rozbiciem. Gdyby była armja potężna, mogąca stawić czoło nieprzyjacielowi, to Rząd narodowy mógłby liczyć na obronę jej bagnetów. Ale armii nie było, nie było ani kawałka kraju oczyszczonego z wojsk rosyjskich, gdzież więc p. Koźmian chce, aby urzędował ów jawny rząd narodowy. Każda teorya, czy teoryjka jest śmieszną, kiedy nie jest opartą na gruncie możebności i praktyczności. Że „młody" Koźmian mógł tak myśleć i takie teoryjki stawiać, to tłomaczyłby go „wiek młodzieńczy", ale dzisiejszy p. Koźmian występując z temi teoryjkami ma widocznie chwile dobrego humoru, w których go stać na żarty.

Wymyślono dyktaturę i widzimy dziś, jaką ona była śmiesznością. W oddziałku trzech tysięcy ludzi nieszczególnie uzbrojonych, miał chronić się dyktator, reprezentujący w swej jednej osobie cały rząd narodowy. Mógł być taki dyktator dobry gdzieś za czasów konfederacyi barskiej, ale już za czasów i za stosunków Kościuszki na taką dyktaturę jak się okazało była spóźniona pora. A przecież „naczelnik narodu" stał na czele pewnej, dość poważnej jak na owe czasy armii, a kraj tylko częściowo zajmowały i to nieliczne zastępy nieprzyjacielskie.

Grono p. Koźmiana nie brało udziału w wytworzeniu dyktatury, zapewne z tego jedynie powodu, iż mało kto liczył się z owem *gronem* z trzech osób się składającem. P. Koźmian przecież znajduje inny powód: oto *grono* nie umiało powiedzieć: kogo ogłosić dyktatorem? Wierzymy najmocniej. Znawstwo w rzemiośle wojennem członków grona było tego rodzaju, że nikt by nie wymagał od niego oceny, a choćby zdania: kto przedstawia najlepsze dane do objęcia wojskowo-cywilnej dyktatury. Znał się pono więcej na tem p. Leon Chrzanowski, redaktor „*Czasu*", synowiec jenerała i on też miał zdecydować powierzenie dyktatury Langiewiczowi. Sam p. Koźmian przyznaje, że „dyktatura bez odpowiedniego terytoryum stawałyby się fikcyą jeszcze większą, niż rząd narodowy tajny". Czyby nie był taką samą fikcyą rząd narodowy *jawny*, w obozie Langiewicza lub innego dowódzcy oddziału?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

robków, dojrzałych chłopów, wyrostków i dzieci stała lub siedziała w rozmaitych miejscach izby, na ławie pod piecem i na skrzynkach. Jakieś szerokie barki i kosmaty łeb zasłaniały połowę okienka. W kącie stancyi na brzegu ogromnego *werka* siedział stary chłop w koszuli i, nisko schylając głowę nad kagankiem naftowym, głośno czytał. Wymawiał słowo po słowie akcentem z podlaska śpiewnym, tonem uroczystym i żałością przejętym.

— We wsi Dołhobrody, w parafii położonej na granicy powiatów bialskiego i włodawskiego pod dyrekcyą naczelnika Gubaniewa trzy roty wojska dopuściły się tyranii. Włościanie na rozkaz dostawienia 60 wołów przyprowadzili 69. Zapytani dlaczego dają więcej odpowiedzieli, że wszystko co mają oddadzą, lecz wiary łamać nie chcą...

— Ou — ou — ou... wzdychali słuchacze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Szkoła i wychowanie.

(Dokończenie).

Nadzieje zwolenników reformy zdawały się być bliskiemi przynajmniej częściowego ziszczenia, gdy za inicyatywą panującego obecnie cesarza Wilhelma II w początkach grudnia w r. 1890 w Berlinie zebrała się wielka konferencya nauczycieli i przyjaciół szkoły celem obradowania nad przeprowadzeniem zmian nieodzownych w obrębie szkół wyższych. Mowa, jaką cesarz zagaił posiedzenie konferencyi, zdawała się zapowiadać daleko idące reformy. „Szkoła", mówił pomiędzy innemi cesarz, „straciła łączność z życiem i winna ją znowu uzyskać. Wyrosłszy ze średniowiecznej szkoły łacińskiej i kierowana przez mężów, którzy w zajmowaniu się językami starożytnymi widzą właściwe zadanie swego życia, zaplątała się w zbytnią uczoność. Z tej drogi winna zawrócić i stosunki obecne wymagają, aby młodzież, opuszczająca szkołę, wyposażona była odpowiadającem jej wiekowi zrozumieniem tych stosunków, które wyjaśniają proces rozwojowy naszego narodu." Słowa te wywołały zachwyt wśród przeciwników gimnazyalnego wykształcenia i zdawały się zapowiadać zwrot nowy w dziejach wyższego szkólnictwa w Prusiech. Niestety, w łonie konferencyi prądy szkołom realnym przeciwne wzięły wkrótce do tego stopnia górę, iż kwestya ich bytu zdawała się czas niejakiś zagrożoną. Obawa ta wprawdzie wkrótce znikła, ale równocześnie rozpłynęła się nadzieja jakichkolwiek koncesyi na rzecz szkoły realnej, gdy zamianowana została komisya, mająca przeprowadzić w praktyce rozpoczęte przez konferencyą dzieło. Albowiem wśród siedmiu jej członków było zaledwie dwóch zwolenników realnego wykształcenia, wszyscy inni byli mniej lub więcej skrajnymi wielbicielami klasycyzmu.

Skład komissyi zadecydował ostatecznie los podjętej z takiemi oczekiwaniami reformy. Spodziewane zmiany zasadnicze w ustroju wyższego szkolnictwa w Prusiech nie nastąpiły, a gimnazyum klasyczne zdołało uratować i nadal swe uprzywilejowane stanowisko. W obrębie jego planu nieznaczne tylko zaszły zmiany. Wprawdzie bowiem języki starożytne powtórnie utraciły 19 godzin tygodniowo, ale czas przez to zyskany obrócony został po większej części nie na rozszerzenie zakresu fachów realnych, tylko na zmniejszenie ilości lekcyi z 268 na 252 tygodniowo. Przewaga też, jakiej po one czasy zażywały wobec innych przedmiotów, o tyle tylko doznała niejakiegoś uszczerbku, iż znaczeniem swojem podzielić się musiały z językiem niemieckim, co do którego nastąpiło zastrzeżenie, iż niewystarczająca cenzura w nim samym pozbawia ucznia prawa do uzyskania świadectwa dojrzałości. Jedyną zmianą zasadniczą w ustroju wewnętrznym gimnazyum klasycznego było zaprowadzenie egzaminu w niższej sekundzie. Ale zmiana ta nie wyszła pono gimnazyum na zbyt wielką korzyść, a przynajmniej, jak to wynika z licznych rozpraw, rozrzuconych po pismach fachowych i wśród nauczycieli wcale a wcale nie cieszy się sympatyą.

Czy przez reformę z r. 1892 reorganizacya wyższego szkólnictwa w Prusiech została definitywnie zamkniętą? Zdaje się, że nie. Niezadowolenie z niej jest bowiem równie wielkie po stronie filologów jak po stronie realistów. Pierwsi w zebraniach publicznych i rozprawach fachowych skarżą się gorżko, iż przez dalsze zmniejszenie ilości godzin dla języków starożytnych przeznaczonych, uniemożliwione im zostało osiągnięcie zadawalniających rezultatów w tym przedmiocie, drudzy rozgoryczeni są upokarzającym obejściem, jakiego szkoły realne doznały na konferencyi berlińskiej. Rząd sam zdaje się także dzieło reformy uważać za niezamknięte stanowczo. Inaczej bowiem nie byłby dyrektorowi Reinhardowi w Frankfurcie udzielił zezwolenia do zrobienia ciekawego eksperymentu z gimnazyum, opartem na zupełnie nowych, a tendencyom zwolenników jednolitej szkoły mniejwięcej odpowiadających zasadach. Albowiem równocześnie z zaprowadzeniem nowych planów upełnomocniony został dyrektor gimnazum miejskiego w Frankfurcie do zmienienia planu tegoż w ten sposób, iż w trzech najniższych klasach w miejsce łaciny wstępuje język francuzki. Łacina sama zaczyna się dopiero od tercyi niższej, a greckie od niższej sekundy. Deficyt, spowodowany mniejszą ilością lat i godzin językom starożytnym poświęconych, wyrównany ma być intenzywniejszem traktowaniem nauki w klasach wyższych. Tym sposobem spodziewa się dyrektor Reinhardt we wszystkich przedmiotach osięgnąć rezultaty, nie ustępujące w niczem rezultatom po innych gimnazyach osięganym. Czy nadzieje jego się ziszą, przyszłość okaże.

Tymczasem nie ustaje dezercya filologów z zawodu zpod znaków klasycyzmu. Do wymienionych bowiem powyżej dwóch filologów, którzy system wychowania klasycznego ośmielili się potępić jako nieodpowiedni potrzebom czasu, w czasach ostatnich przystąpił trzeci w osobie Bahnsch'a. Bahnsch, profesor i autor kilku rozpraw uczonych z zakresu wiedzy starożytnej na zjeździe nauczycieli szkół wyższych prowincyi wschodnio- i zachodnio-pruskiej w Gdańsku r. 1891 miał wykład następującej treści:

Przeciwnicy humanistycznego wykształcenia czynią gimnazyom zarzut, iż nietkniętemi zostały powiewem ducha czasu i straciły łączność z siłami, poruszającemi teraźniejszość. Zarzut ten jest zbyt ciężki, ponieważ fachy realistyczne znalazły wstęp do gimnazyów, rozpostarły się tutaj i z coraz większym skutkiem wypierają języki starożytne z ich stanowiska. Zwłaszcza nauka języka greckiego straciła wiele na objętości i skuteczności. Tego dowodzi znaczne zmniejszenie lektury. Jeszcze więcej wpada w oczy zanikanie wiadomości gramatycznych u naszych uczniów, tak, iż skargi na niepewność i obojętność uczniów klas wyższych względem form gramatycznych nie umilkają. Język grecki odgrywa też w wiedzy i umiejętności ludzi z wyższem wykształceniem bardzo nieznaczną tylko rolę, ponieważ wiadomości w greckim języku, które podaje szkoła, nawet w przybliżeniu nie są tak obfite jak w łacińskim i niesłychanie prędko się ulatniają. W tym względzie inaczej sprawa stoi z językiem łacińskim, którego cywilizacyjno-historyczne znaczenie jest też zupełnie inne. Wobec tego stanu rzeczy wyrobiło się u niego, mówiącego, przekonanie, iż obowiązkowa nauka języka greckiego po gimnazyach nie da się utrzymać. Należałoby ją więc zastąpić nauką fakultatywną, a zarazem zaprowadzić w klasach wyższych naukę literatury greckiej, opartą na dobrych tłumaczeniach. Przez to w miejsce wolno postępującej roboty minowniczej i kreciarskiego rycia wstąpiłby pochód swobodniejszy i, co zwłaszcza ważnem jest przy utworach poetycznych, łatwe, niczem niezamącone kosztowanie całości. Czas przez to uzyskany należałoby przekazać niemieckiemu, którego energiczniejsze traktowanie na szerszej podstawie staje się nieodpartą koniecznością, i językowi angielskiemu, który coraz energiczniej puka do bram gimnazyum.

Jak można było przewidzieć, śmiałe słowo poważnego filologa przeciwko obecnemu ustrojowi nauki języka greckiego pośród jego kolegów wywołało wielką burzę. W pismach fachowych i codziennych posypały się artykuły przeciwko jego wywodom, a pomiędzy nimi wyróżniał się dosadnością wyrażeń artykuł dyrektora gimnazyum w Heidelbergu, dr. Uhliga, zamieszczony w piśmie „Humanistisches Gymnasium" z r. 1892. Bahnsch nie został dłużnym odpowiedzi, lecz ogłosił nową, obszerniejszą rozprawą p. t. „Spór o naukę greckiego języka" (Gdańsk 1893), w której rozwinął i uzasadnił bliżej myśli, wypowiedziane więcej ogólnikowo w swym wykładzie. Tym sposobem spór pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami klasycznego wykształcenia, zażegnany na chwilę przez wielką konferencyą berlińską, rozżarzył się na nowo. Za klasycznem wykształceniem ujął się oprócz wzmiankowanego wyżej dyrektora Uhliga profesor filologii przy uniwersytecie w Goettingen v. Wilamowitz-Moellendorf w swej rozprawie „Philologie und Schulreform", przeciw nim stanęli dyrektor Voelcker w swej rozprawie „Formalsprachliche Bildung durch den Unterricht in der Muttersprache, formal-logische Bildung durch den Unterricht in der Mathemathik" i Paulsen w swej rozprawie „Ueber die gegenwaertige Lage des hoeheren Schulwesens in Preussen i i.

Jaki będzie koniec tego sporu? O ile teraźniejszość uprawnia do wniosków o przyszłości, zdaje się być niewątpliwą, iż dni klasycyzmu są policzone. Potężny rozwój cywilizacyjny czasów naszych ma cechę tak oryginalną i tak wybitną, iż świat starożytny coraz więcej nam się staje obcym i zasobów myśli, złożonych w jego piśmiennictwie coraz mniej możemy się nauczyć. Fala też studyom klasycznym przeciwna rośnie coraz więcej i ogarnia koła, do niedawnego czasu wątpliwościom o doskonałości obecnego systemu wychowania niedostępne. Bliższemu rozbiorowi argumentów pro i contra, na których opierają się zwolennicy i przeciwnicy klasycyzmu w szkołach wyższych, może przy innej sposobności poświęcimy kilka uwag. Dziś chcieliśmy tylko skreślić historyczny przebieg sporu w sprawie, która i nas bardzo blisko obchodzi, ponieważ i nasi synowie w szkołach pruskich otrzymują swe wykształcenie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

OBRAZKI ZAMORSKIE.

I.

Pewnego razu znalazłem się niespodzianie na uroczystości religijnej. Gdy przechodziłem ulicą Halsted obok jednego z teatrów, jakaś miss wetknęła mi do ręki świstek reklamowy. Było to już dość późnym wieczorem. Czytam przy świetle latarni: ktoś będzie popisywał się śpiewem w teatrzyku, wejście zaś będzie bezpłatne. Narazie sądziłem, że początkujący śpiewak w ten sposób ugania się za popularnością swego imienia. Ponieważ znajdowałem się o kilka kroków od przybytku popisu, a nadto zbliżała się oznaczona godzina — ósma, przeto zaszedłem, aby przejrzeć otwierającą się przedemnę niespodziewanie, nową kartkę z życia amerykańskiego.

Teatr sporych rozmiarów i elegancko, a przedewszystkiem wygodnie urządzony. Zamiast krzeseł pół-fotele, sala przedstawia rodzaj amfiteatru, w którym każdy następny rząd wznosi się o szczebel wyżej od poprzedniego. Na estradzie dokoła stołu siedzi kilka osób; parę skromnie ubranych dam, jakaś młoda amerykanka kręci się przy pianinie, wysoki mężczyzna w zaniedbanym ubiorze stoi z rękami na krzyż złożonemi i bacznie przygląda się napływającej publiczności. W sali gromadzi się osób coraz więcej. Przy mnie siedzi matka z dwoma podlotkami, strój świadczy, że rodzina posiadać musi spore dochody. W poprzedzającym rzędzie zajęło miejsce kilku staruszków, wśród których wkręcił się *loufer* — ulicznik i wyróżnia się arcypoważną miną. Na twarzy jego znać zadowolenie, że rozpościera się na tak wygodnem siedzeniu. Dalej spotykam młodą przekupkę z koszykiem w ręku. Nie mogę zatem uskarżać się na brak rozmaitości. Ktoś wchodzi z dużym koszem w ręku, zbliża się do każdego z obecnych po kolei i podaje mu książkę zwykle nader zużytą, z podartemi zabrudzonemi stronnicami, pozaginanemi kartkami. I ja też nie zostaję pominięty. Biorę do ręki upominek. To zbiór śpiewów religijnych. Psalm idzie po psalmie, hymn po hymnie, a każdy oznaczony kolejną cyfrą. Prócz słów znajduje się zawsze melodya. Teatr — śpiewnik religijny — bezpłatne wejście, cóż to będzie ostatecznie Niedługo czekam na rozwiązanie zagadki. Ów jegomość w zaniedbanym ubiorze wstępuje na trybunę, bierze do ręki podobną, ale porządniej utrzymaną książkę i głośno komenderuje: taki a taki numer. Zapatrzony nie zdołałem dosłyszeć komendy. Publiczność wyszukuje hymn w śpiewniku, *miss*, znajdująca się przy pianinie poczyna grać, a ów ktoś intonuje śpiew, powtarzany chórem przez obecnych. Melodya wojownicza, śmiała, raczej stworzona do marszu. Dźwięczą w niej znane mi tony. Ach! to melodya z paryskiego bruku, śpiewana w kołach, które do Izby wysyłają radykalistów:

. . Dalej więc, dalej wznieśmy śpiew!

Kto u kogo ją pożyczył? Obecnie nie ma wątpliwości! Niegdyś Purytanie musieli z tą melodyą religijną iść do boju, czasy zaś nowożytne podłożyły inną treść. A kiedy hymn skończono, rozpoczęto na komendę drugi, trzeci... Publiczność wciąż napływa; w chwilach zaś, gdy otwierają się drzwi, słychać okrzyki, rozdających przed teatrem świstki reklamowe.

Upływa kwandrans jeden, drugi. Zmęczony bieganiną po mieście, z przyjemnością odpoczywam w wygodnym fotelu, w sali pełnej światła i powietrza. A melodye, dobrze wybrane budzą stan błogości, i nie chybiają celu. Zaczynam rozmyślać nad duchową fizyognomią zebranego tłumu i przekładać na język obcej duszy własne wewnętrzne wrażenia. Wszystko to ludzie spracowani: jedni siedzieli nad pracą w biurze, inni jako subjekci krzątali się po sklepach, jeszcze inni biegali po mieście. Taki odpoczynek w wygodnem siedzeniu przy dźwiękach stósownej muzyki i tonach chóralnego śpiewu, w oświetleniu niebieskawem lamp elektrycznych, poczyna działać na mnie. Czuję, iż przestaję być odrębną indywidualnością i zlewam się w jednem współdrganiu nerwowem z nieznanymi towarzyszami w ową mistyczną, a jednak istotną jaźń zbiorową, którą psychologia, badająca objawy zbiorowego życia, ochrzciła nazwą duszy społecznej. Poczynam tonąć w ekstazie zbiorowej duchowości. Rozglądam się następnie dokoła i spostrzegam, że inni rozpływają się także w ogólnym zachwycie, można to wyczytać z ich twarzy, a im która jest bardziej zbrudzona przedwczesnemi zmarszczkami, silniejsze nosząca znamię spracowania psychicznego, tem posiada wyraz większej błogości. Religia wpływa na masy, działając na sprężyny emocyonalne i narazie milczy o dogmatach. Wprzódy zdobywa uczucie, później zwraca się do rozumu. Bo ów śpiew choralny jest tylko wstępem. Kiedy ekstaza nerwowa uczyniła już swoje, natenczas ów jegomość zaczyna mówić. Już z pierwszych słów widać dzielnego wirtuoza, który umie grać na tej odpowiednio przygotowanej duszy społecznej. Bacznie spogląda na tłum i korzysta przedewszystkiem z wrażenia, jakie wywołały chóry: „Śpiewajmy po pracy, bo śpiew wzmacnia ducha, uczy nas kochać bliźniego, każe zapominać o złych myślach. Śpiewajmy więc dużo a razem!" Później potrąca inne struny — natury moralnej, jeszcze później — dogmatycznej. Wzruszenie ogarnia publiczność: dogmat przez serce trafia do umysłu przybrany w zachwyt emocyonalny.

Po *revival* na drobną skalę! W oczach

ukazują się łzy, ten i ów podnosi się z miejsca porusza rękami w powietrzu. Narkotyk zbiorowej ekstazy działa. A cóż to dopiero dziać się musi na wielkich zbiorach-obozach, gdzie tysiące osób podnieca się nawzajem, wśród woni łąk i lasów, upojeń słońcem i czystem powietrzem, muzyką i śpiewem?

* * *

Coś podobnego, chociaż w innnym kierunku, widziałem w Newarku. Spostrzegłem tam na ulicy plakaty *Ligi liberalnej*, oznajmiające, że w danym dniu, a była to niedziela, odbędzie się odczyt o źródle przesileń handlowych. Naturalnie nie omieszkałem korzystać z nadarzającej się sposobności.

Sala odczytowa na drugiem piętrze, wejście bezpłatne. W przedpokoju ogromny stół ugina się pod stosami ulotnych świstków, broszur i większych książek — treści, jak wyrażano się niegdyś, humanitarnej. Sprzedają tam po najniższej cenie różne rozprawy o wiwisekcyi, alkoholiźmie, postępie, środkach dobrobytu. W sali znajduje się już kilkadziesiąt osób, przejście pokryte prostymi, lecz grubymi wojłokami, tak, iż nie słychać stąpanie. Na ścianach porozlepiano ustawy ligi, porozwieszano obrazy humanistów z różnych czasów i miejsc.

Po całej sali leżą jakieś sporych rozmiarów książki elegancko oprawione w jednakowej barwy okładkę. Siadam na pierwszem lepszem miejscu i sięgam ręką po upominek rozłożony na niem i oczywiście przeznaczony dla mnie. *Cosmian Hymn Book!* A zatem śpiewnik wyznawców humanitarnego obrządku, uchodzącego w Ameryce za pewnego rodzaju sektę. Ze zrozumiałą ciekawością przerzucam stronnicę po stronnicy. Zaczynam od przedmowy. Wydawca spowiada się z pobudek, które skłoniły go do wydrukowania zbiornika „hymnów kosmicznych“. Publiczność, gromadząca się dokoła towarzystw etycznych i humanitarno-liberalnych, oddawna utyskuje, że nie posiada śpiewnika, któryby w sobie jednoczył hymny wyższej moralności z dobranemi melodyami, a wolny był od wszelkiego ciasnego sekciarstwa.

Oko ślizga się po kartkach książki Hymny na cześć przyrody, Shelley'a, pełne uniesienia: energiczna liryka Byrona, odddychająca żądzą indywidualizmu: utwory poetów zagranicznych w angielskim przekładzie — słowem, umiejętna ręka dokonała wyboru.

Humanizm przemawia z każdego wiersza, to energiczny i zuchwały, to rozmarzony i miękki.

Sala tymczasem zapełnia się publiką różnego wieku i płci oraz, o ile sądzić mogłem z pozorów, nader różnej zamożności.

Jakaś młoda miss siada przy umieszczonem w kącie pianinie, ktoś wchodzi na trybunę. Posiedzenie otwarte. Prezydujący bierze egzemplarz zbiornika hymnów kosmicznych i dyktuje nr. 84. To znaczy, iż chórem go odśpiewamy. Siedząca przy pianinie panienka wydobywa stosowną melodyą i po sali płynie hymn *Life let us cherish!* Opiewa on radości życia: prowadzi nas na łono przyrody i każe napawać się jej wdziękami, wskazuje na wielkie czyny i radzi je szanować, opowiada o miłości i o tem, jak to uczucie uprzyjemnia drogę żywota. A każda strofka wybucha dziękczynieniem i zarazem radą: niechaj życie będzie nam miłe. Po tym chórze na cześć przyrody rozpoczyna się odczyt. Wywody płytkie, wnioski dziecinne. Trwał pół godziny, po czem nowy hymn rozległ się po sali — na cześć wzajemnej miłości.

Człowiek dla człowieka powinien być bratem i nigdy nie odmówić pomocy moralnej i materyalnej potrzebującemu. Niewiadoma bowiem godzina, kiedy i my sami będziemy potrzebowali ręki braterskiej.

Hymn ów zamknął pierwszą część posiedzenia. Jakiś jegomość z kapeluszem w ręku obchodzi publiczność, ze składki będzie wynagrodzoną *miss* przy pianinie i prelegent. Przerwa chwilowa i znowu chór, napełniający przestwory halli echami jakiegoś śpiewu. Wreszcie rozpoczyna się ożywiona dyskusya na temat odczytu. Różne osoby z pośród publiczności zabierają głos, jedne mówią rozsądnie, inne plotą jak na mękach, ale prezydujący nikomu nie przerywa, — wolność słowa jest zupełną. Po rozprawach jeszcze raz z piersi słuchaczów brzmi hymn kosmiczny...

K. R. Żywicki.

LISTY Z WARSZAWY.

29 września.

(Przygnębienie. — Aresztv. — Cerkwie i barbarzyństwo wschodnie. — Odezwy. — Gurko i Gurkowa. — Wystawa i Sztuki.)

— Dawno już nie przesyłałem żadnych wieści z Warszawy, tak dawno, że nie wiem od czego zacząć. Wprawdzie mało wesołego... Nie zdążyliśmy jeszcze wyjść z przygnębienia wywołanego drakońskim wyrokiem tutejszej administracyi, który skazał parę set osób aresztowanych wskutek manifestacyi 17 kwietnia na deportacye do odległych miasteczek i wsi w głębi Rosyi, gdzieś aż pod Uralem lub ku morzu Białemu, aż tu nowe aresztowania przypominały o tem pod jakiemi znajdujemy się rządami.

Wśród kilkunastu aresztowanych jest kilku literatów: p. p. J. Popławski i Hłasko, byli współredaktorowie „Głosu“ i p. Szawłowski redaktor „Niwy“. Nienawiść do polskości, a zwłaszcza do prasy naszej posuwa się tak daleko, te nieszczęśliwe pisma, ćwiartowane przez cenzorów zdziczałych z obawy, aby nie przepuścić czasem artykułu, od którego, jak od pocisku dynamitowego, runąć by mogło naraz całe imperyum rosyjskie, ta nieszczęśliwa prasa zredukowana i stłumiona zawadza jeszcze tak dalece naszym ciemiężcom, że zdaje się sama należność do niej staje się powodem uwięzienia. Słyszałem o jednym z aresztowanych, że całe oskarżenie przeciw niemu polega na znalezionej u niego korekcie „Głosu“ czy „Niwy“.

Drugim nie mniej przygnębiającym wrażeniem jest rozmnożenie się bizantyńskich kopułek, od których, aż duszno robi się niebu, a święci pańscy nie wiedzą gdzie szukać schronienia.

Zapewne trudno posunąć dalej zuchwalstwo, niż to czynią obecnie prześcigający się w gorliwości „najserdeczniejsi.“ Dom Staszyca, ów gmach drogi i pamiątkowy, ofiarowany przezeń Towarzystwu Przyjaciół Nauk, a następnie po wielu kolejach zabrany na pierwsze gimnazyum, teraz przerabia się na cerkiew. Od paru lat widok zburzenia tego nietylko pamiątkowego, ale jednego z najpiękniejszych gmachów,*) który frontem swoim z wyniosłą kopułą zamykał widok z Krakowskiego przedmieścia, krwawi serce przechodniów i nieraz słyszeć można pełne oburzenia wykrzykniki i przekleństwa przyjeżdżających z prowincyi i ze zgrozą widzących poniewieranie pamiątek i własności narodowej. — Posąg Kopernika, który się wznosił przed tym gmachem zdjęty jest chwilowo z podstawy z powodu jej odnowienia: niewiadomo jak wyjdzie on z tego „odnowienia“. Może i nad nim zechcą zawiesić dwugłowego kruka. W każdym razie będzie teraz paradnie wyglądał ów pionier Oświaty na tle cerkwi w rosyjskim stylu!

Teraz zaczyna się coś bodaj potworniejszego — oto ogrodzono parkanem cały plac Saski i poczęto zwozić nań piasek, glinę etc. na fundamenta nowej cerkwi bizantyńskiej.

Jak urąganie barbarzyństwa cywilizacyi wznoszą się te gmachy jeden za drugim w najlepszych punktach miasta, chociaż i te, które są, dotąd zwykle pustkami stoją — bo nie ma tyle schyzmatyków w Warszawie, aby je zapełnić, — a tymczasem nasze kościoły zamykają jak w Krożach lub zamieniają je na koszary jak w Zamościu...

Ażeby nadać pozory publicznego oświęcenia placu pod ostatnią z wspomnianych budowli, spędzono masę żołdactwa i wszystkich pułkowych popów; dekoracyę tę uzupełniła garstka uliczników, którzy nie pomijają sposobności ostrzenia języków nad szerzycielami rosyjskiej kultury.

Pomimo to wszystko kursuje po Warszawie parę odezw. Jedna z nich jest odpowiedzią na artykuły prasy rosyjskiej, która posunęła się do tego, że powstanie Kilińskiego przedstawiła jako rzeź niewiniątek!... Druga (zresztą blado napisana) ukazała się w ciągu ostatnich dni paru: powołuje ona do żałoby powszechnej we wszystkich trzech zaborach w roku przyszłym jako rocznicy stuletniej ostatecznego rozbioru Polski.

Oto są główniejsze wypadki w życiu publicznem w ciągu ostatnich paru miesięcy. Jak widzicie rząd tutejszy stara się wszelako mścić na nas za tryumfy narodowe osiągnięte na wystawie lwowskiej i za te chwile podniesienia ducha narodowego, które przeżyli galicyanie, poznańczycy i szczupła garstka koroniarzy o tyle szczęśliwych, że nie obawiając się utraty posad, mogli zajechać do Lwowa.

Zresztą pogłoski, które krążą o Górce każą spodziewać się prędkiej zmiany przynajmniej najbliższych dotyczących nas narzędzi rządu. Powiadają, że już utracił prawie całkowicie władze umysłowe i we wszystkiem biernie ulega małżonce. Raz w chwili jaśniejszej miał jakoby zawołać sekretarza i począł mu dyktować list do cara z prośbą o dymisyę. Lecz w tym trakcie nadeszła szanowna połowica, list zdarła, sekretarza wypędziła, a małżonkowi dała burę...

Ale porzućmy to smutne pole i przejdźmy na skromną niwę naszej sztuki, która tak świeżo zdobyła sobie uznanie powszechne na wystawie Kościuszkowskiej.

Salon Tow. Zachęty przedstawia się dość ubogo. Mało tam nowego, a i to nie pierwszorzędnej wartości. Pośród obrazów pierwsze miejsce zajmują pejzaże, a wśród nich zwracają uwagę niewielkie, oryginalne i żywo malowane obrazki Ansgaryego. Jest ich cała serya: *Południe*, *Staw przed zachodem*, *Zakątek*, *Olszyna*, *Ogrodnik*, *Widok na łąki*, *Młode dęby*. Malowane w sposobie nieco zbliżonym do impressyonistycznego (co razi zwłaszcza w *Młodych dębach*), uderzają kolorytem żywym — może nazbyt żywym: ale co stanowi osobliwość ich — to niezwykłe oddanie połysku wody i odbitych w niej przedmiotów w dwóch z tych obrazków (*Południe i Staw przy zachodzie*). Po za tem są rzeczy przeważnie już dawniejsze — z przed kilku miesięcy. Ładne są *Grobla na moczarach* Popowskiego — krajobraz nocny trzymany w sinawych tonach — *Zła droga* Wywiórskiego, *Barcie* Świeszewskiego — obrazek przedstawiający pierwotny sposób bartnictwa w dziuplach drzew i *Orły* Schouppégo — krajobraz górski, ożywiony lecącemi ptakami. Z większych obrazów również dawniejszej daty mamy *Cmentarz* Hirszenberga i *Stadninę* Chełmońskiego. Ten ostatni obraz przedstawiający bójkę dwóch ogierów, nasuwa niewesołe rozmyślania o sztuce dzisiejszej.

Czy wywołana przez zwierzęce instynkta bójka zwierząt jest właściwym tematem dla dzieła sztuki i dla takiego artysty jak Chełmoński? Czy może wywołać widok ten jakie uczucie prócz obrzydzenia? Cóż z tego, że będą wiernie odmalowane muskuły i żyły naprężone (o ile tak jest nie mogę sądzić, nie będąc weterynarzem), czy to już stanowi spełnione zadanie sztuki? Jeśli śmiesznem znajdowano wcielenie przez Comte'a użytecznych zwierząt, przyjaciół ludzkości do zbiorowego Wielkiego Bytu, to jak-

---

*) Nie łatwo przyszło Apuchtinowi wykonanie tego aktu barbarzyństwa z powodu antagonizmu z Gurką; raz rozpoczęte burzenie wstrzymano nagle; przez cały rok stał nadrujnowany gmach otoczony rusztowaniami jakby umyślnie w celu jątrzenia publiczności. Jakiś czas krążyła pogłoska, jakoby kazano Apuchtinowi restytuować gmach własnym kosztem. Ale pokłony i łapówki zrobiły swoje. Najsmutniejsze jest to, że, o ile słyszałem, komitet czuwający nad wykonaniem testamentu Staszyca w którym wyraźnie jest zapowiedziane, na jakie cele może być gmach ten przeznaczony, nietylko nie wykazał dostatecznej energii w obronie własności publicznej od jawnego rabunku, ale nie wiem czy przedsięwziął jakiekolwiekbądź kroki w tym kierunku.

że nazwać umieszczenie na ołtarzu Piękna takich tematów jak *Stadnina* Chełmońskiego?

A jednak zjawisko to dość rozpowszechnione wśród malarzy i rzeźbiarzy: prawie żaden z nich przy ocenie dzieła sztuki nie bierze pod uwagę wartości idejowej. Oceniają je tak samo jak studya uczniów — jedynie z punktu widzenia poprawności wykonania. Takie ograniczenie widnokręgu jest wynikiem ciasnej specyalizacyi, połączonej z brakiem szerszego poglądu na rzeczy. Człowiek maluje wciąż muskuły albo drzewa, i dochodzi wreszcie do tego, że nic nie widzi po za muskułami lub drzewami.

Przeciwny biegun tego obrazu stanowi *Mickiewicz i Maryla* Masłowskiego — temat godny lepszego wykonania niż to, jakie tu znajdujemy, przytem zepsuty do reszty impresoynistyczną mięszaniną barw, mających przedstawić oświetlenie od zachodzącego słońca. Ale prawdziwe oburzenie i to nietylko na wykonawcę, ale i na komitet zarządzający, wywołuje mazanina Pankiewicza pod napisem *Nokturno*. Jest to kilka szarych i białych zupełnie bezkształtnych plam na czarnem tle. Publiczność zaintrygowana tą mistyfikacyą udaje się do woźnego po wyjaśnienie zagadki i otrzymuje odpowiedź, że są to łabędzie w ogrodzie Saskim w nocy. Z równym prawdopodobieństwem można by przypuścić, że są to mgławice przedświatowe bujające w toni chaosu lub pokutujące duchy błąkające się po ziemi. Słowem w takiej ciemności, jak w absolucie Szellinga, wszystko jest jednakowe. Najdziwniejsze jest to, że bazgranina podobna stoi już kilka miesięcy i że zamiast ją wyrzucić przyjęto drugą zbliżoną nieco do niej, ale już wyraźniejszą pod nazwą *Konary i księżyc* — tu przynajmniej można rozróżnić jakieś czarne smugi i białą okrągłą plamę, która od biedy może ujść za księżyc, chociaż równem prawem mogłaby wyobrażać dziurę w niebie lub plamę od mleka na czarnej ceracie.

Nieco ciekawiej prezentuje się dział rzeźb zwykle tak szczupły u nas. Pierwsze miejsce tu zajmuje żołnierz rzymski naturalnej wielkości z bronzu Welońskiego, autora uroczej *Kaliny*, opatrzony napisem *Ave Caesar morituri te salutant*. Ten sam posąg z gipsu wystawiony jest we Lwowie. Dalej idą nie bardzo szczęśliwie pomyślana, *Praca* Wasilkowskiego — właściwiej byłoby napisać kowal — bo nic nie ma w tym posągu naturalnej wielkości takiego, coby wcielało ogólniejszą i oderwaną myśl pracy, a postawa i wyraz twarzy zamiast godności i dumy proletaryusza maluje raczej zarozumiałość lub nadętość majstra.

Jeszcze mniej fortunną jest grupa *Kocham cię!* tegoż. Jest ona wprost odrażająca pomysłem, nie mówiąc już o zupełnym braku wykończenia. Samo już połączenie nagich ciał z takim napisem razi jakimś zgrzytającym dysonansem. Sympatyczna jest *Muza* Niemiry, śpiąca jak na puduszce na gęstej grzywie lwa. Rzeźba ta stawała do przeszłorocznego konkursu i była pominięta zupełnie; możliwie, że ma jakieś usterki techniczne, ale dla nierzeźbiarza jest o wiele ponętniejsza od kilku nagrodzonych. Z drobniejszych ładne i, o ile mi się zdaje, nowe są *Rusałki* Wiśniewskiego i *Nicpoń wiejski* Laszczki.

A teraz na zakończenie przytoczę sąd słyszany wobec jednego z obrazów, który może przypadnie do serca nie jednej z pań poznańskich. Obraz przedstawia las; koło ogniska na drugim planie stoją dwie kobiety. — Dwie panie stoją przed obrazem, lornetują go; wreszcie jedna odzywa się:

— Jakże tu odróżnić, która sługa, a która Pani!

A więc bez tego nawet na obrazie nie można?

Przypomniałem sobie rozmowę w wagonie z pewną matroną, która przeniosła się z Wielkopolski do Galicyi. Skarżyła się na zwyczaje galicyjskie.

— Proszę Pana, cóż to jest? Moja znajoma mówi mi „całuję rączki“ i sługa mówi mi „całuję rączki“! X.

KRONIKA KRAKOWSKA.

9 października.

(Jeszcze „jeden z sukcesorów“. — Rajcy we Lwowie. — Czytelnia w Białej. — Deraudacya. — Niezadowolenie atystów.)

„Jednemu z sukcesorów“ nie podobały się uwagi prof. Zolla w sprawie fundacyi śp. Wiktora Osławskiego. Po raz drugi zatem broni publicznie swoich współsukcesorów, nie chcących uznać kodycylu testamentowego. Z iście adwokacką werwą tłomaczy paragraf 582 ustawy, na którym jednocześnie opierają się sukcesorowie i prokuratorya skarbu, działająca w imieniu fundacyi. Po adwokacku też upiera się w swoich przypuszczeniach co śp. Osławski „myślał“, nie przekreślając ustępu o fundacyi w testamencie. Nie potrzebnie wogóle wdaje się „jeden z sukcesorów“ w moralną obronę sprawy, co go naraża na wikłania się. Tak n. p. w pierwszym liście wyrażał przekonanie, że śp. Osławski postanowił majątek oddać rodzinie i z tego powodu nie podpisał kodycylu, że jednem słowem rozdział majątku między dalekich krewnych jest wypełnieniem właściwej woli zmarłego — a kiedy prof. Zoll w odpowiedzi na to zacytował ustęp z listu Osławskiego, w którym tenże wyraźnie oświadcza, iż nie ma żadnych obowiązków dla swoich krewnych, „jeden z sukcesorów“ natychmiast odwołuje się do prawa i nie chce nic słyszeć o „listach prywatnych“ testatora. Pomimo tego sądzi, że znalazłyby się może i takie listy, które intencye przeciwne fundacyi wskazują. Tak n. p. dr. Zoll proponował Osławskiemu złożenie za życia funduszów w Akademii Umiejętności, a ponieważ propozycyą tę Osławski listownie odrzucił, przeto „widocznie nie miał jeszcze stanowczej woli ustanowienia fundacyi.“ Wie także jeden z sukcesorów, że kiedy rozgłoszono za życia Osławskiego wiadomość o fundacyi, był on bardzo z tego rozgłosu niezadowolony. W odpowiedzi na ten drugi list „jednego z sukcesorów“ dr. Zoll oświadcza naprzód krótko, że nie myśli się zapuszczać w polemikę prawniczą, bo taka nie miałaby celu, a sam zresztą wywód prawny „jednego z sukcesorów jest tego rodzaju, iż wszelką replikę czyni zbyteczną.“ Co do listów ś. p. Osławskiego pisanych do prof. Zolla nie ma w nich ani jednego słówka, z któregoby można wnosić o zniesieniu jego woli. Propozycya co do złożenia legatu fundacyjnego Akademii Umiejętności wyszła dla tego od dr. Zolla, ponieważ sądził, że Osławski jest poddanym francuzkim, a z tego powodu od sumy fundacyjnej trzebaby było po jego śmierci opłacić podwójną, francuzką i austryacką należytość rządową, co razem wynosiłoby aż 22 proc. Na to Osławski odpisał, iż jest poddanym austryackim, a więc obawa dr. Zolla jest płonną. Zaprzecza w końcu dr. Zoll, ażeby przed śmiercią znajdowały się jakiekolwiekbądź wzmianki o jego fundacyi w pismach publicznych. Z całej tej polemiki widzimy jasno, iż jeden z sukcesorów powinien był krótko oświadczyć: „chcemy korzystać z tego, że Osławski nie podpisał kodycylu“, a nie bawić się w naciągane tłomaczenia rzeczywistej jego woli.

Radey naszego miasta wybornie się bawili we Lwowie. Wprawdzie im przy powitaniu dał prezydent Lwowa do połknięcia gorzką pigułkę, zaznaczając, iż ostatni dla zwiedzenia wystawy przybyli, ale pigułkę tę ochrzcono wspaniałym bankietem i mówkami, pełnemi czułych frazesów. P. Marchwicki n. p. widział w nich „następców tych ojców, którzy synom swym przekazali nigdy i niczem nieskalaną polskość!!!“ Pięknie ten frazes wyglądał, tylko ludzie ciekawi pragnęliby wiedzieć jak wyglądała owa polskość ojców p. Beringera, Horowitza, Ichheisera, Feintucha i niektórych jeszcze innych radców, przybyłych na wystawę.

Mniej głośną, ale ważniejszą była uroczystość bialska, w której wprawdzie nie brali udziału radcy naszego miasta, ale zastąpili ich przedstawiciele różnych instytucyi krakowskich. W Białej tej dokonano poświęcenie własnego domu „Czytelni polskiej“. Biała jest na mniejszą skalę ale mniej więcej tem samem w Galicyi, czem Łódź dla Królestwa; tak samo leży na granicy, tak samo jest miastem fabrycznem i tak samo germanizowanem. Przypominają sobie zapewne np. czytelnicy, iż magistrat bialski uchwalił nie przybijać na rogach ulic tabliczek z ich nazwiskami w języku polskim. A jednak żywioł polski jest silny w Białej, a przygnębiony jedynie wskutek braku odporności, a jeszcze więcej braku instytucyj, będących zawsze najlepszym łącznikiem ludzi wspólnych dążeń. „Czytelnia“ zatem posiadająca swój własny dom może na tę łączność wywierać wpływ wielki i stanowczy. Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem, a pochód z kościoła do Czytelni zatamował na kilka minut ruch na ulicy, co było najlepszym dowodem ilości żywiołu polskiego. Na uroczystość przybyli delegaci Wydziału krajowego pp. Romanowicz i Sawczak, co naturalnie podniosło jej znaczenie. Obecność zwłaszcza p. Sawczaka jako Rusina, była miłym, choć tak rzadkim dowodem łączności obu szczepów, zamieszkujących Galicyą. Nadesłano wiele pism i telegramów, z których podnieść należy życzenia arcybiskupów Issakowicza i Morawskiego, Kornela Ujejskiego i wybitniejszych przedstawicieli Szląska Burmistrz Białej p. Rosner i poseł na sejm Strzygowski, nie raczyli przybyć na uroczystość, lubo ich zaproszono. Raziła właśnie nieobecność włościan tam, gdzie oni są podstawą, na której się przeważnie opiera rozwój i odporność polskiego żywiołu. Z przemówienia delegata Wydziału p. Romanowicza podnieść należy słowa: „krzywdę Polakom tu wyrządzoną kraj jako swoją krzywdę uważa; stoi on za wami i popierać was będzie.“

Donosiłem w swoim czasie o licznych rewizyach w sklepach żydowskich w Krakowie i o aresztowaniach ich właścicieli. Nastąpiły one wskutek odkrytych olbrzymich defraudacyi celnych. Rewizye i aresztowania odbyły się również w Białej, Oświecimiu, Tarnowie, Rzeszowie, Lwowie, Brodach i t. d. Obecnie śledztwo zostało ukończone i doręczono wyroki obwinionym, Defraudanci zakupywali towary w Niemczech i odsyłali je do Nowego Berunia miasteczka pogranicznego na pruskim Szląsku, zkąd je przy pomocy przemytników odbierali w Galicyi. Unikając opłaty celnej, sprzedawali towary taniej, podkopując fabryki krajowe i państwowe i wyrządzając zarazem krzywdę rzetelnym kupcom. Winy dowiedziono dwustu dziewiędziesięciu kupcom żydowskim. Łączna kara pieniężna, jaką im wyznaczono, dochodzi do 600,000 złr., a kary aresztu łącznie wzięte przechodzą sto lat. Sporo było takich co ratowali się ucieczką; przytrzymani i wyrokiem zasądzeni mogą się jeszcze odwołać do najwyższego sądu dla spraw dochodów skarbowych we Wiedniu.

Pomiędzy artystami krakowskimi panuje wielkie niezadowolenie z powodu nagród rozdanych na wystawie sztuki we Lwowie, Jeden z bardzo głośnych artystów, dowiedziawszy się, że ma otrzymać medal bronzowy, wycofał w ostatniej chwili swoje prace od ubiegania się o nagrodę. Znany malarz Reyzner ogłosił w dziennikach, że nie przyjmuje medalu. O ile słyszałem przykład ten pociągnie wielu za sobą. Rzeczywiście rezultat wypadł niespodziewany. Najwybitniejsze nazwiska widzimy pominięte; niektórzy bardzo zdolni i uznani artyści otrzymali trzeciorzędne nagrody, a znacznie słabsi od nich cieszą się pierwszorzędnemi. *Nomina sunt odiosa*, więc ich nie wymieniam, aby nie powiększać rozdrażnienia.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA LONDYŃSKA

9go października.

(Teatr: Nowa kobieta. — Malartwo: Piękne kobiety. — Literatura: Znakomite kobiety. — Modrzejewska jedzie!)

— Widziałeś kiedy „nową“ kobietę? — spytałem znajomego bajecznie zaintrygowany

nieznanem mi zjawiskiem fin de siècle'u, o którego narodzeniu się trąbią nam wszyscy i wszystko. Na afiszach czytamy: „Nowa kobieta“, w stu artykułach ni ztąd ni zowąd wymyka się z pod pióra dziennikarskiego aluzya do „nowej“ kobiety, w salonie często ktoś o niej przebąknie z uśmiechem, na zgromadzeniach filistrów rzuci ktoś gromkie anatema — w powietrze, szanujące się damy dla reklamowania swych cnót chrześciańskich i salonowych mimochodem wtrącą słówko o niej z należytym przekąsem. Jednem słowem gwałt!!!

Człek przerażony, pod grozą ignorancyi, rozgląda się, mówiąc; „Gdzież u djabła jest to dziwne indywiduum, o którem wróble świergocą na dachach!

Mój znajomy, tak zagadnięty, skrobał się po łysinie w wielkim frasunku i wyrzekł w końcu:

— Widziałem..... w teatrze „komedyi“.

— Co to za stworzenie?

Na to dictum on spojrzał na mnie z góry, dziwiąc się naiwności i nieświadomości Waszego ziomka, lecz nie przestawał eksplorować swego pięknego czoła.

— Nowa kobieta?... To dwunożne stworzenie rodzaju nijakiego, strojem, obejściem i zacięciem przypominające mniejszą cząstkę ludzkości, wadami większą cząstkę — kobiety. Postęp jest jaskrawym jego sztandarem, a wszystko na świecie „kwestyą“, począwszy od nankinów i jazdy na rowerze, a skończywszy na miłości. — Uważasz, w Londynie przypada na jednego mężczyznę pięć czy siedem białogłów (prawda, że to wesołe!), a że mormonizm, ani mohametanizm widoków nie ma niestety, zatem trzeba było odkryć nowe ścieżki do serc płci brzydkiej. O etycznej wartości kobiety nowej marki przesądzać nie śmiem. To nie mój „business“....

Nie zaspokojony tem określeniem, podążyłem na sztukę pana Sydney Grundy, która „robi furorę“ na deskach „Comedy theatre“. Autor zaprezentował nam cztery okazy. Trzy z nich widocznie uciekły z wodewilu jakiegoś i zachowywały się szpetnie. Jedną zemdlił papieros i wyszła w należytym momencie, aby.... dać sposobność do popisu innej aktorce. Druga chwaliła się swemi „skromnemi“ dziełami p. t. „Nagość bez wstydu“, „Głupie dziewice“ i t. p. Trzecia w wolnych od dyskucyi chwilach poświęcała się bezczelnemu polowaniu na zgrzybiałego w kawalerstwie ex-pułkownika. Czwarta wreszcie miała poważną minę, nie kochała męża, bo jej nie rozumiał, nie doglądała obiadu, lecz pisała dzieło o „Etyce małżeństwa“ z młodym i przystojnym literatem, Gerardem Cazenove, który ją zrozumiał, a w którym ona się zakochała.

Gerard tymczasem, jak zwykle mężczyźni, zakochał się w zewnętrznej stronie niewiasty, zapomniał na śmierć o etyce, o dusz pokrewieństwie, o przyrodzonej sympatyi natur i — ożenił się z ładną, milutką gąską, Margery, która go nie zrozumiała. Pomyliło się zatem wszystko; jedni się rozumieli, drudzy nie. Śmiechy i karesy poczciwej Margery przejadły się Gerardowi, jej nieznajomość ludzi i savoir-vivre'u poczęła razić i zdekoncertowany małżonek wyznał to swej współpracowniczce pani Sylwester, która znowu wyznała mu, że kocha go i gotowa poślubić bez ślubu. Awantura! Margery słyszała wszystko, oczy jej się otwierają i opuszcza męża. Nie, naprzód jeszcze idzie na bal, nakazuje się odczepić od siebie panu Sylwester, który, jako należący do gatunku nierozumiejących, kocha się w Margery po rybiemu, dalej robi przyzwoitą scenę pani Sylwester, żegna grzecznie zrozpaczonego męża i idzie do ojcowskiej farmy zrywać jabłka z drzew, z czem jej do twarzy.

Gdyby sztuka była pisaną na scenę francuzką, na tem byłaby się skończyła, bo Gerard kochający swą żonę tylko temperamentem, sympatyi natur nie znalazł, ani szczęścia. Jednem słowem głupstwo się stało. Nie tak w Anglii Tu publice trzeba, aby Numa połączyła się z Pompiliuszem. Gerard zatem zabiera sobie Margery i dowiaduje się, że żona powinna być „tylko kobietą“. Owe: tylko kobietą — to płytki frazes, który pryska pod skalpelem i ideę sztuki zamienia w zero.

Akt pierwszy w technice i przeprowadzeniu doskonały, lecz wszystko idzie potem molto decrescendo, a akt czwarty jest fiasco. Mimo to sztuka warta widzenia i ciągnie, upstrzona aforyzmami, któremi od czasu ukazania się komedyi Oskara Wilde wszyscy na scenie szafują szczodrze, jakby im płacili od wiersza. Szkoda tylko, że idea, która jak górski strumyk wytryska śmiało, wysycha na marnych piaskach.

Zbrzydziwszy sobie niewiasty „nowego stempla“, zapragnąłem przypatrzyć się „pięknym kobietom“ — na retrospektywnej wystawie portretów wszystkich epok w Grafton Gallery. Arcydzieła można tu liczyć jak kartofle i zrobić rewelacyą, że dawni mistrze angielscy to mistrze, których świat nie zna i nie ceni należycie. Lecz jest to tylko kwestyą czasu. Z wrastającą nieustannie w Paryżu anglomanią, świat wnet dowie się o Reynold'sie, Romney'u Kneller'ze, Tappner'ze i Lely'm. Z pomiędzy portretów tego ostatniego malarza wyróżnia się „la belle Hamilton“, dama słynna z urody na dworze Karola IIgo. Doskonale utrzymane płótno w kolorycie przypomina Botticelli'ego swym żywym złocistym podkładem pod ciało. Z licznych dzieł pierwszego prezesa kr. Akademii, Reynolds'a wspomnieć należy: „Pani Siddons jako muza tragedyi.“ Podniosła kompozycya odrysowuje się w pamięci niezatarcie. Aktorka, siedząca w krześle, z rękoma na poręczach, w stroju brunatnym, oczy wznosi w górę z wyrazem na szlachetnej twarzy, który ma w sobie coś z wielkich, tragicznych wstrząśnień duszy. Obraz cały malowany trzema barwami z swem tłem Rembrandtowskiem nosi cechę powagi. Nie mniej uwagi godnym jest „pani Siddons jako muza komedyi“, gdzie z czarownym uśmiechem zerka na widza, odsłaniając maskę. Wybornym jest portret księżnej Malborough Knellera, pociągającą Lady Miller Romney'a i świetnie oddanym ruch nóg „tancerki“ Tapplera.

Ograniczam się na anglikach, aby nie utonąć wraz z kroniką w Tycyanach, Holbeinach, Rembrandtach, Botticelich, Van Dyckach, dalej Kaulbachach. Herkomerach, lub Boldinich, którzy tu wyszli przed oczy szerszej publiczności z nieprzebranego skarbca — salonów magnackich. Słusznie prorokuje Bourget, że za lat pięćdziesiąt cenne zabytki sztuki znaleźć będzie można li tylko z tej strony kanału.

Gdzież w życiu tyle pięknych kobiet? W rzędzie najpiękniejszych, t. j. tych, przed któremi uginają się w czci i zachwycie czoła stoi na najwyższym szczeblu pani Annie Besant, kapłanka teozofii, eks-propagatorka ateizmu i eks-żona pastora. Czy ma wrogów? Nie byłaby wielką, gdyby ich nie miała, lecz przyczaili się oni po kątach na niepokonanych trójnogach swej nieomylności lub koślawych stolcach ciasnych, filisterskich poglądów. Zresztą, cobądź myśleć można o teozofii, hołd oddaje każdy, do bezwzględnej sprawiedliwości wyciągający ramiona, tej nietylko nowej, ale zupełnie niepospolitej istocie, która z wiarą pierwszych chrześcian, ze swadą adwokata, erudycyą uczonego, umysłem filozofa, godnością kapłanki. a zapałem apostoła usiłuje uszczęśliwić bliźnich pod sztandarem wszechbraterstwa. Kto raz widział ją na estradzie stawiającą czoło przeróżnym oponentom, niezapomni tej świętej postaci i nosić będzie jej wspomnienie pod sercem jak relikwię świadczącą, że jeszcze są „ludzie“ na świecie. Apostoł praktycznego chrześciaństwa, a zagorzały katolik, W. T. Stead, pisał o niej dużo z najwyższem uznaniem, bo w tym klimacie można być katolikiem, a rozumieć i szanować niekatolików. Obecnie, Wielki starzec nie poskąpił jej uznania w swym artykule ex re drugiej edycyi jej „Autobiografii“, która zapewne wyszła po niemiecku, i którą polecam gorąco.

Wśród beletrystycznej powodzi, przepełnionej jak zwykle awanturniczemi historyami, które ochrzciliśmy mianem: „detective-stories“, znalazłem powieść, zalecającą się stylem i podniosłością myśli ponad zwykły poziom p. t. „Skrzydła Ikara“ pióra poetki panny Almy Tademy, córki słynnego malarza archeologicznego.

Wprawdzie niebezpiecznie wścibiać nos w tak liczne grono niewiast, ale wpakuję w nie humanistę pana Henryka Lazarusa, który może jaśniej na świat spoglądać będzie i odroczy przepowiedzianą „Rewolucyą angielską XX wieku“ — na parę wieków później. Prospektywna ta historya będzie zapewne przedmiotem szczegółowego sprawozdania w „Przeglądzie“.

„Nową“ autorką, robiącą gwałtowny hałas obecnie jest amerykanka, panna Elżbieta Banks, która wydała ozdobną książkę pt. „Kampanie z ciekawości. Dziennikarskie przygody amerykanki w Londynie“. Że też owe yankesówny nie mogą zrobić kroku bez jakiej przygody. Ale wszelki humbug popłaca. Panna B. przechodziła „kampanie“; bawiła się w służącą, kwiaciarkę, praczkę i zamiataczkę, aby na dokumentach oprzeć całą paczkę obserwacyi z trybu życia powszedniego. W niekonwencyonalnej swej pracy utrzymuje, że praczki idą jedynie za mąż, aby nie zostać staremi pannami, co im chwali, perorując przeciw rychłemu zamążpójściu, jako zaporze na drodze socyalnego postępu.

Z pewnością zemdliłem czytelnika, cały list poświęcając płci słodyczy i goryczy, przedstawicielkom nowym, starym, pięknym, zapomnianym i głośnym. Niech mi to będzie przebaczonem. Na koniec dzielę się miłą wiadomością: Modrzejewska jedzie! którą powtarza liczny zastęp wielbicieli jej talentu, ciesząc się, że artystka, zanim pożegna się ze sceną, zabawi czas dłuższy wśród nas, nad Tamizą.

Czekamy, z piórem za uchem.

Nobody.

KRONIKA PARYSKA.

8go Października.

(Katastrofy kolejowe. „Le petit Sucrier“ i walki byków. Z teatrów.)

Towarzystwo kolejowe „La Compagnie du Nord“ dziwnie jest od pewnego czasu przez los prześladowane! Ledwie przebrzmiały echa dzwonów pogrzebowych jęczących nad trumnami ofiar wypadku kolejowego małej stacyjki Appilly, aż się tu znowu rozleciała po Paryżu wieść Hiobowa, że na linii północnej nowa katastrofa. „Jeżeli tak dalej potrwa, mówi sobie zafrasowane mocno Towarzystwo, to ludzie przestaną używać naszej linii, decydując się raczej nadłożyć drogi, lub zastąpić parowóz, końmi, welocypedami czy też własnemi nogami — a nasza kasa, najlepiej dotychczas wypchana ze wszystkich kas wszystkich towarzyst w kolejowych, pustkami świecić będzie! Trzeba więc przynajmniej ze siebie zrzucić wszelką odpowiedzialność.“

W wypadku w Appilly łatwo było wyszukać kozła ofiarnego. To szef stacyi winien. Twierdząc, że pociąg osobowy lada chwila nadejść musi, manewrował na torze dwoma towarowemi wagonami „*Toute la faute du déraillement incombe au chef de gare qui a payé de sa vie son inexplicable négligence*“. Tłomaczenie to niezadowolniło jednak poruszonej i przerażonej publiczności. Zaczęto niedyskretnie dochodzić i badać, a rezultat tych dochodzeń okazał się fatalnym dla Towarzystwa. Chciwość i skąpstwo de la Compagnie du Nord weszło tu nieomal w przysłowie, nikt się więc bezmiernie nie zdziwił wiadomości, że Towarzystwo przez *oszczędność* (grzecznie się wyrażając) trzymało w Appilly jednego tylko na stacyi urzędnika, tego biednego Boubay, który był w jednej i tej samej osobie: chefem stacyi, zamiataczem biór, sprzedawaczem biletów, ekspedytorem towarów i korespondencyi, telegrafistą — no i niewiem już czem. Mimo najlepszej woli nie mógł być równocześnie w dziesięciu miejscach i musiał od czasu do czasu popełniać „des négligences.“ Zamiast mieć w Appilly trzech urzędników zadawalniano się jednym i to 65 letnim starcem, zmęczonym długoletnią poprostu nie obliczoną na ludzkie siły, służbą.

Nic tu więc nie pomogło wysuwanie biednego Boubay i rzucanie jego pamięci na pastwę zirytowanej i zatrwożonej publiczności. Ta tak łatwa do otumanienia publiczność, tym razem zwieść się nie dała i wskazuje Towarzystwo jako głównego winowajcę i szemrze głośno, wcale tem nie zaspokojona, że zmarłym ofiarom wyprawiono wspaniały pogrzeb, a pozostałej wdowie i dzieciom wyznaczono pieniężne odszkodowanie, tak jak gdyby śmierć męża i ojca odszkodować można kilku tysiącami franków! — Sprawa więc Towarzystwa nieświetnie stała, gdy na domiar w samym nieomal Paryżu, pomiędzy dworcem Północnym a dworcem św. Łazarza wykoleił się, wskutek pęknięcia szyny na linii należącej do Compagnie du Nord, pociąg tak zwany omnibusowy. I na kogoż tu teraz zwalić winę? Ta szyna, która wbrew szacunkowi dla potężnego Towarzystwa, pozwoliła sobie na taki wybryk i beztakt, była według zapewnień administracyi zupełnie odpowiednią przepisom. — Więc co? więc ziemia pod szynami nie była dostatecznie ubitą i belka, szyny łącząca spruchniałą, — odpowiadają osoby, które zaraz po wypadku nadbiegły na miejsce katastrofy. Kto tu znów winien? Łatwa odpowiedź. Winno Towarzystwo lekceważące sobie środki ostrożności i oszczędzające na robotnikach i na materyałach. Że w wypadku tym nie było co najmniej 10 trupów, to nie jest już winą Towarzystwa, ale losu, który zrządził, że w pierwszym za lokomotywą wagonie, na drzazgi rozbitym, nikogo nie było.

Dzienniki notując dwie te katastrofy, doniosły przy tej okazyi, że we Francyi, co najmniej jeden urzędnik kolejowy na dzień życie traci wskutek wypadku. W sprawozdaniach Towarzystwa czytamy zawsze: „Imprudence de la victime“ i nikt prawdy nie dochodzi. Żona i dzieci biedą zagrożone, płaczą krwawemi łzami, koledzy wieniec za trumną niosą — i na tem koniec. Nikt się nie zajmuje biedną ofiarą, nikt się nie upomina za tymi biedakami, którzy z taką rezygnacyą, tak bez robienia hałasu, bez zwracania uwagi, codziennie giną.

Rozpisałem się umyślnie tak obszernie o tej kwestyi, bo jest tu ona obecnie na porządku dziennym i opinię publiczną żywo zajmuje — a potem właśnie „Linia Północna“, łącząca Kolonię z Paryżem, nie powinna wam być obojętną.

W tych dniach umarł w więzieniu w Passy człowiek, którego nazwisko przez dzień jeden nietylko Francya cała miała na ustach, ale nieomal cała Europa, dzięki rozgłosowi sprawy, w której brał udział. Mówię tu o murzynie Nortonie, owym fałszerzu dokumentów, które to miały zgubić p. Clemenceau, udawadniając mu niby, że jest przekupionym przez rząd angielski. Łatwo jednak podrobienie stwierdzono, i rezultatem jedynym całej tej skandalicznej historyi było uwięzienia fałszerza Nortona oraz ówczesnego redaktora pisma „Cocarde“ p. Ducret, który w swej gazecie sprawę tę w najlepszej zresztą wierze poruszył, a wreszcie usunięcie się z Izby posłów Déroulède'a i Millevoy'a. Jeżeli, co jest prawdopodobieństwem, zmarły nie zostawił pamiętników, to zajście to całe pozostanie wieczną zagadką — i nikt się nigdy nie dowie, kto to był w tym wypadku sprężyną, kto natchnął murzyna tą myślą czarną, jak kolor jego skóry.

Do przeróżnych przyjemności i rozrywek, których tu złota młodzież używa, a zwłaszcza nadużywa, przybyła, dzięki staraniom młodego milionera p. Maxa Lebaudy, walka byków. Zblazowany wszelkiemi rodzajami sportu panicz, pragnący świeżych a silnych wrażeń, umyślił pobawić się w Toreadora. Jakiej jest rzeczywiście w szlachetnym tym sporcie siły — czy jest Toreadorem di primo cartello — tego się publiczność nie dowiedziała, bo zaprosiwszy cały high-life męzkiego rodzaju i najświetniejsze gwiazdy teatralnego i półświatkowego horyzontu dwa razy na widowisko, sam na arenę zejść nie raczył, — zastępowali go sprowadzeni z Hiszpanii za drogie pieniądze specyaliści. — Ciekawe to w swoim rodzaju — bo właśnie gdy u p. Lebaudy w posiadłości jego w Maisons-Laffitte zgromadzali się zaproszeni, by przyjrzeć się walce byków, zakazały władze miejscowe, w Nîmes, gdzie sport ten dawno już uprawiano, barbarzyńskiego widowiska, motywując zakaz uwagą, że zabawa taka, to dręczenie „zwierząt domowych“. — Krzyk się podniósł niesłychany — całe Południe w rozruchu — a gdy południe w rozruchu to *Pécaire* nie obywa się bez piekielnych wrzasków, dzięki zapalnym, wybuchającym naturom tamtejszym. — Wysłano nawet deputacyę do władz wyższych do Paryża, zdaje się jednak, że bez rezultatu. — Czy panu Lebaudy będzie wolno bezkarnie dręczyć „zwierzęta domowe“? Towarzystwo opieki nad zwierzętami wytoczyło mu już wprawdzie proces — ale drwi on sobie niezawodnie z tego. Postawienie areny kosztowało go 50,000 franków, zapłaci więc obojętnie kilkaset, czy kilka tysięcy franków grzywien. Jeżeli sportu tego dalej traktować nie będzie, to tylko dla tego, że zgromadzeni Przyjaciele i przyjaciółki, mimo wysiłków, jakie im kurtuazya dyktowała, nie mogli pokryć wstrętu, jaki w nich obudził widok krwią zbroczonych i z bólu ryczących zwierząt. Podobno Toreadorzy są już z powrotem w Hiszpanii, a za to z Ameryki pełnemi żaglami płyną sławni bokserzy mający ich na arenie zastąpić.

Nie warto było rozpisywać się o tym Lwie tutajszym, ale „Petit Sucrier“ — tak go tu zowią na pamiątkę, że jego miliony zarobione przez ojca na fabrykach cukru. — to tak głośna w Paryżu postać, że chcąc nie chcąc człowiek się musi nią zajmować. Jest to dziś z pewnością najpopularniejszy Paryżanin. Nie ma nieomal dnia, by gazety nazwiska jego nie wymieniały, zaznaczając jakie haut fait — notując imię chwilowej faworyty, podając cenę brylantowej riviêry, którą lubą swoją obdarzył i t. d. i t. d.

We wszystkich cafésconcert śpiewki o Petit Sucrier publiczność rozweselają, — a fotografie jego w przeróżnych sportmeńskich kostiumach zdobią witryny składów. Jakżeż tutaj pisząc do was, taką sławę pominąć!!!

Od p. Lebaudy do wiadomości teatralnych skok łatwy. Otóż sezon teatralny świetnie się już dziś zapowiada. W operze dyryguje Verdi osobiście próbami Otella, na afiszach komedyi francuzkiej dramat poetyczny Franciszka Coppée'go: Severo Torelli, a do Renaissance Sarah Bernardt zdołała ściągnąć Coquelin'a starszego. Sarah Bernhardt i Coquelin na jednych deskach! Dwie tak wielkie znakomitości „wystarczą“ by Paryż cały zelektryzować. Niestety niewiadomo jeszcze, czy będzie wolno Coquelin'owi w Renaissance występować. — Dowiemy się tego z wyniku procesu, który komedya francuzka artyście wytoczyła. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że statuty komedyi przepisują, że kto należy, czy należał do „Stowarzyszenia“ t. j. kto pobiera, czy pobierał prócz gaży jeszcze procenta od dochodów komedyi, ten jest z nią na zawsze związany i talentem swoim innej scenie służyć mu niewolno.

Ay.

Z estrady i sceny.

(„Ciotka Karola“, krotochwila w trzech aktach Brandon Thomasa, tłomaczona z angielskiego. Pani Adolfna Zimajer.)

Zdawaćby się mogło, że refleksyjna natura Anglików najmniej jest podatną do tego rodzaju scenicznej twórczości, który nieprawdopodobne błazeństwa w system logiczny zamienia; ojczyzną krotochwili w nowoczesnem tego słowa znaczeniu jest Francya, a przez długi czas ona wyłącznie nieomal, podobnie jak szampanem, tak i utworami z dziedziny farsy zaopatrywała Europę. W ostatnich lat dziesiątkach wprawdzie niemiecki „Michel“ i splinowaty „John Bull“ podrabiać zaczęli francuzkie wina i francuzką — krotochwilę, ale stosunek oczywiście pozostał taki jak między — no! powiedzmy — marką Kaisersekt lub „Monopol“ z jednej, a „Veuve Cliquot“ z drugiej strony. Wykradziono francuzkim winnicom recepty, lecz szampańskich winogron nie wydała angielska i niemiecka ziemia, — pojęto ostatecznie technikę francuzkiej krotochwili, lecz szampańskich pereł i pianki dowcipu nie przyswojono germańskiej naturze. Pojawiały się tu i owdzie farsy zręcznie zbudowane i tryskające prawdziwym humorem, ale bywalec teatralny rozumiał dobrze, że wszystko co w nich istotnie wartościowem było, zdradzało francuzkie pochodzenie. Były tam paryzkie bon mots, nadsekwańskie typy i sytuacye wykradzione francuzkim krotochwilistom, a mozaika ta zaopatrzona w berlińskie lub londyńskie etykiety, lokalne aluzye, zwroty i nazwiska zapełniała teatry po same brzegi, łudząc pozorami orginalności przeciętną publiczność.

W ostatnich latach dopiero ukazało się tak w Niemczech jak w Anglii kilka prawdziwych talentów w dziedzinie krotochwili, a lubo kolegom z nad Sekwany berła nie wydarły, to jednak wprowadziły w dziedzinę farsy kilka świeżych żywiołów, rodzime typy i oryginalniejsze pomysły.

Wymieniam tu tylko moguńckich pisarzy Laufsa i Jacoby, których „Toller Einfall“, Pension Schöller“ i „Ungläubiger Thomas“ zawierają mnóstwo materyału humorystycznego, eksplodującego w samą porę i ułożonego w zręczne wiązania; w Anglii zaś głośna farsa „Dom Waryatów“, a przedewszystkiem święcąca tryumfy na wszystkich europejskich scenach „*Ciotka Karola*“ zalecają się nietylko znajomością architektury „scenicznego błazeństwa“, lecz sporą dozą porywającego komizmu.

Szampańskiego szumu nie ma oczywiście w sobotniej premierze, ale jest pomysł błyskotliwy i obfitujący w tryskające prawdziwym humorem sytuacye. Pomysł — to kardynalny warunek dobrej krotochwili. Z niego wyrastać muszą konsekwentnie komiczne zawikłania; — musi to być źródło obfite, z którego autor czerpie materyał akcyi sceniczej bez sztucznych wysileń, bez nadmiaru epizodycznego balastu, bez dodatków i *przelepianych* dowcipów. W samem założeniu mieścić się może krzyczące nieprawdopodobieństwo, ale byle tylko błazeńska premisa była źródłem akcyi bogatej w komizm prawdziwy, byle tylko wysnuć z niej można logicznie cały szereg pociesznych zawikłań, to farsa niezawodnie spełni zadanie swoje.

Takiemu pomysłowi zawdzięcza „Ciotka Karola“ w pierwszym rzędzie powodzenie niezwykłe. Przebrać kolegę — studenta za kobietę, i przedstawić go „królowom serc studenckich“ jako bogatą ciotkę-miljonerkę, to istotnie fundament urodzajny, na którym rozplenić się może bujna wegetacya humoru. Oczywiście założenie to naraża autora na poważne niebezpieczeństwo drastycznej jaskrawości. Mieści ono tyle pokus cyrkowych, że łatwo bardzo stracić równowagę i przekroczyć granicę, dzielącą teatr od areny clownów. Autorzy sobotniej premiery sunęli dosyć szczęśliwie po wązkiej i ślizgiej ścieżce, ale chwilami balansowali nad samym brzegiem przepaści, chwilami już cyrkowa atmosfera wionęła ku nam ze sceny.

Być może jednak, że przyczyniła się do tego nieco drastyczna gra p. *Knapczyńskiego* w roli ciotki fałszywej.

Ulubiony ten artysta sceny poznańskiej grał z właściwym sobie życiem i humorystycznem zacięciem. Lekki, ruchliwy, i zręczny wypełniał osobą swoją całą scenę przez 3 akty farsy wesołej, ale miejscami zapominał zupełnie, że pod suknią indyjskiej, czy amerykańskiej lady siedzi lord angielski, a lord ten mimo studenckiej bezpretensyonalności powinien zdradzać poniekąd maniery „high lif u“. Snać artysta pomyślał sobie z wiedeńska „S'ist halt a Hetz“ i nie starając się uprawdopodobnić sytuacyi, hulał wesoło po scenie w drastycznych łamańcach.

Z świeżo zaangażowanych artystów zjednał sobie „un succès d'estime“ pan *Prochaska* grą naturalną i swobodną, natomiast w ruchach p. *Rapackiego* uderzał chwilami ambaras, a nieszczęśliwa charakterystyka zewnętrzna zamgliła studencką typowość.

Panna *Trzcińska* w roli młodzintkiej Lili wstąpiła na deski z większą pewnością jak w pierwszym debiucie na poznańskiej scenie.

Ale jest to jeszcze surowy materyał, z którego dopiero rutyna i umiejętna reżyserya może ukształtować artystkę. Reszta ensemble'u poruszała się dosyć żwawo, ale pamięciowa strona zdradzała znowu poznańską premierę, gdzie rozpaczliwy flirt aktorów z reżyserem stał się typowem nieomal zjawiskiem. Razi to w krotochwili więcej niż w każdym innym utworze, bo tu właśnie artysta starać się powinien, aby widza błyskawiczną ruchliwością i żwawem tempo tak opanować, że uchwycony szalonym wirem nie opamięta się i o sztuczności akcyi scenicznej zapomni.

* * *

Od dni kilku występuje na scenie naszej pani Adolfina Zimajer. Świetna ta gwiazda płonąca tak jasno na firmamencie operetkowem, stracila w ostatnich latach nieco blasku swojego. Ale mimo to, ileż tam jeszcze temperamentu i wdzięku! Pani Zimajer przymila się publiczności każdym ruchem i każdym tonem pieszczotliwego szczebiotu. Timbre jej głosu jest dziwnie oryginalne, a tak dziecięco — kokieteryjne, że mimowoli zapomina się o „tem co było, a z czego dzisiaj zostało tylko wspomnienie“. Znałem pewną artystkę sceny krakowskiej, która siliła się wykraść pani Zimajerowej tajemnicę flirtu scenicznego, ale przypomniała mi jedynie słowa Schillerowskie: „Wie er sich räuspert, wie er spuckt, hat er ihm glücklich abgekuckt“. Tego szczebiotu, tych wdzięków kapryśnego dziecka, tej filuteryi i pieszczotliwości nie podrobi nikt. To oryginalna właściwość pani Zimajerowej, jedynej w *swoim rodzaju* diwy operetkowej. Przypominam sobie jeden szczegół z pierwszego przedstawienia. Rzucony z loży prosceniowej bukiet pada u stóp śpiewaczki. Pani Zimajer podnosi go, ale ani na chwilę nie wypada z roli. Wdzięczy się do kwiatów i ujmuje je giestem nieokreślonym. — pół-łobuz, pół-dziecko. I w tej nadprogramowej sytuacyi zachowuje wiernie styl operetkowy. *W. R.*

NA WYŁOMIE.

Mimika dziennikarska. W sprawie toruńskiej. Korespondent — optymista. Dwa sądy i dziwoląg. Ostatnie słowo w sprawie „Gońca Wielkopolskiego“.

Czytać dzienniki polityczne i znać zakulisowe sprężyny tej wielkiej jasełki — to krotochwila tak wesoło niemal jak „Ciotka Karola“, lub sztuka tak dramatyczna jak „Intryga i miłość!“ Co wolicie?!

Nie ma istotnie nic pocieszniejszego i tragiczniejszego zarazem jak studya nad mimiką różnych kapłanów i westalek opinii publicznej i narodowego ogniska. Strachmaskowany uśmiechem, — święty gniew na ustach, a w piersiach lodowa obojętność, cynizm szyderczy pod wstydu sztucznym rumieńcem, okrzyk zdumienia, gdy ktoś tajemnicę z pod serca wykradnie, głośne egzorcyzmy ex cathedra a w kącie romans z wyklętym djabłątkiem, patetyczne potępienie winy dla zasłonięcia jej źródła, — oto kilka brawurowych numerów z wielkiej europejskiej jasełki, którą mianujemy prasą polityczną. Ta rafinowana mimika, uprawiana z prawdziwym artyzmem w dziennikarstwie innych narodów, zaczyna i u nas, w chwilach potężnych zapasów stronniczych zyskiwać adeptów. Ani słowa! wesoła kompanja, — a najweselszy z gromady to Champion konserwatyzmu naszego, często naiwny, a częściej udający naiwność „Dziennik Poznański.“ Słyszycie? Kronos przemówił. W koturnowem namaszczeniu rękę wyciąga i na rewelacyą moją w sprawie toruńskiej spogląda. Głos jego drży, — w imię „uczciwości i honoru(!) żąda, bym źródło wymienił, z którego do stóp cesarskiego tronu płynęły niefortunne informacye, — „niecnym i ohydnym“ mianuje postępek nieznajomego autora i wreszcie dziwne zwiastuje nam rzeczy: „Zarzut rzucony jest w twarz jakimś osobom, a przez to (!) pośrednio społeczeństwu polskiemu (!!)“, — tak mówi patryarcha dziennikarstwa.

Zdawać by się mogło istotnie, że publikacya nasza przeraziła aż do szpiku kości redakcyę „Dziennika Poznańskiego.“ Strach, popłoch, dramat i tragedya. Uspokójcie się jednak. Przypomina to wszystko pewnego hreczkosieja, który widząc w teatrze płaczącą nad losem bohaterów kobietę, szepnął jej poufale: „Niech się Imość nie rozczula, bo mnie się mocno zdaje, że to tylko komedyje.“ I ta dramatyczność „Dziennika“ zakrawa na „komedyje.“ Mam wszelkie powody przypuszczać, że patryarcha nasz jest najdokładniej poinformowany o toruńskich tajemnicach, a jeżeli dziś szaty rozdziera i w grymas zdziwienia zdobi lica swoje, to wzrusza nas tylko o tyle, o ile Sara Bernhardt publiczność paryzką. To też komendę piorunową, aby odsłonić nazwisko toruńskiego działacza, przyjmujemy do wiadomości bez żołnierskiej subordynacyi. Odsłonimy je wtedy, gdy sami uznamy to za potrzebne — *wiemy co robimy i dokąd zmierzamy*... Już „Orędownik“ i „Goniec W.“ słusznie wykazali, że „nazwisko“ w obecnym wypadku jest drugorzędną rzeczą — my z naszej strony powtarzamy raz jeszcze, że w dziejach zjazdu pelplińskiego znajduje się podobno polska informacya pod adresem Berlina, ilustrująca Zachodnie Prusy, jako ognisko polskiego socyalizmu. Informacyę zredagowano dyskretnie, bez kontroli korporacyjnej, a tem się tłomaczy, dla czego sprawa przez długi czas tonęła w mrokach tajemnicy i dopiero po mowie cesarskiej wyłaniać się zaczęła z mgieł i ciemności. W wyżej określonych warunkach śledztwo napotykało na każdem kroku niesłychane zapory, ale mimo to znalazły się poszlaki takiej natury, że zerwać milczenie było obowiązkiem. Nikt nie ma prawa żądać od nas odsłonięcia źródeł informacyjnych, bo każda redakcya wiedzieć powinna, że w społeczeństwie, gdzie „homo homini lupus“, a teroryzm koteryjny święci orgje prawdziwe, ludzie lękają się pokryć własnem nazwiskiem drażliwych publikacyi.

My znamy źródło wiadomości naszych i w czystość jego wierzymy, a wszelkie deklamacye o „zemście osobistej i niskiej zazdrości“ zaliczamy do kategoryi tych frazesów, któremi walczą bohaterzy maskarady społecznej, gdy ktoś odważny z ran bolących zdmuchnie puder i malowidło. Wiarogodność informacyi naszych potwierdził również „Goniec Wielk.“ na podstawie własnych badań i dociekań, a nie mamy żadnych powodów przypuszczać, aby korespondent „Dziennika Poznańskiego,“ piętnujący całą rewelacyę, jako alarm fałszywy, zbadał dokładniej od innych czasopism toruńską scenę i kulisy. Przeciwnie! Snać z Poznania wyjść musiała komenda. Oślepnij! bo nagle źrenice znanego publicysty łuszczką się pokryły i Toruń po mowie cesarskiej wydaje mu się tak cichym i pogodnym, jak doliny Szyrazu. Krew tam nie kipi, władze uśmiechają się do nas dobrotliwie, a Niemcy i Polacy pod obuchem królewskiej krytyki kochać się nagle poczęli, jak Romeo i Julja. Tak! Spokój anielski w Toruniu, choć w robotniczych warstwach pięści zacisnęły się po cesarskiej mowie i narodowe „my a oni“ zbudziło się kilkakrotnie do akcyi hałaśliwej. I nie dość na tem. Mówiliśmy o „ucisku administracyjnym,“ bo doniesiono nam, że lud z „Królestwa Polskiego“ szukający służby w Zachodnich Prusach“, nie znalazł dawnej gościnności i wracać musiał za kordon, ale korespondent „Dziennika Pozn.“ widzi oczywiście tylko niemieckie pieszczoty. Rozczula nas ten optymizm i rozczula nas błyskawiczna metamorfoza pewnych ludzi, którzy dziś wołają z uroczystą powagą, że „w kraju Duńczyków nic się nie zepsuło,“ a wczoraj w Hamletowskiej zadumie marzyli o zwołaniu wieców „wyświecających.“ Sapienti sat!

A teraz jeszcze jedno słowo! „Dziennik Poznański“ mieni „niecnością i ohydą“ postępowanie tego, który rzekomo informował cesarza o rozwoju polskiego socyalizmu, — my natomiast oświadczyliśmy z góry, że wierzymy w uczciwe intencye autora informacyi, a źródła jej szukamy jedynie w lekkomyślnym porywie. Podkreślamy tę poważną różnicę poglądów w tym celu, aby w odpowiedniej chwili przypomnieć ją koledze po piórze, któremu pamięć wtedy tylko dopisuje, jeżeli interes stronnictwa tego wymaga. Zapomniał o głośnym okólniku komitetu prowincyonalnego, mógłby i o tem zapomnieć. — Odrzucamy też z całą stanowczością twierdzenie „Dziennika Pozn.“, że zarzut wymierzony przeciw jednostkom spada pośrednio na społeczeństwo polskie. Jest to jeden z owych dziwołągów logicznych, które od czasu do czasu pojawiają się stale w najstarszym organie Księstwa i przybrały nieomal chroniczny charakter. Oskarżenie jednostek o winę względem społeczeństwa nie jest oskarżeniem narodu, a zdaje mi się istotnie, że w całej Europie nie ma drugiego kraju, w którym dziennikarze znajdują się w konieczności zbijania tak studenckich frazesów swoich „poważnych i doświadczonych“ kolegów.

Ale w tej prasie poznańskiej jedno nam tylko pozostaje: „nil admirari“ — maksyma stoików. Zdawało mi się, że nietylko prawem, ale obowiązkiem moim jest przestrzegać pilnie, aby nikt nie odważył się ukrócić przywilejów tego stanu, w którego szeregach stanąłem, i w tem przekonaniu interpelowałem przed dwoma tygodniami dyrekcyą teatralną w sprawie wiadomego zajścia przy kasie, ujmując się za pokrzywdzoną reprezentantką „Gońca Wielk“. Przypomniałem równocześnie czasopismu temu obowiązek wyjaśnienia krzywdzącego zajścia, a uwagi moje były tak dyskretne, że nie wymieniłem nawet interesowanego organu. Zamiast wdzięczności zabrano się do mnie iście po „Gońcowemu“, a gdy wobec tego odparłem zwycięzko kłamliwe zarzuty, wpadli koledzy z Piekar w prawdziwy paroksyzm furyi zapienionej. O Gońcowych konwulsyach sąd jest ustalony w Poznaniu i dla tego bliżej ich określać nie będę, a na artykuł „Sulla contra pani Domagalska“ tyle tylko odpowiedzieć mogę, że większym dla mnie zaszczytem polemizować z uprzejmą kasyerką teatru polskiego niż z organem ulicznych napaści. Faktem niezbitym pozostaje, że „Goniec Wielkopolski“ dopiero wtedy przypomniał sobie obowiązek wyjaśnienia sprawy, gdy zapowiedziałem redaktorowi publikacyą całego zajścia w „Przeglądzie“; zmuszono mnie zarzutem fałszu do odsłonięcia rąbku spraw zakulisowych, a wobec powtórnych wylewów żółci nie pozostaje mi nic innego jak ogłosić na tem miejscu list, który z prośbą o umieszczenie otrzymuję od pani *Izabeli Rzepeckiej*, byłej recenzentki „Gońca Wielkopolskiego“:

Szanowny Panie!

W polemice między Panem a „Gońcem Wielkopolskim“ nie byłabym zabierała głosu, gdyż sprawa jest mi już zupełnie obojętną, lecz dziwnie śmiały zarzut fałszu, który odważono się Panu uczynić, zmusza mnie wprost do wystąpienia w obronie prawdy, a świadectwo moje jako osoby najbliżej wtajemniczonej staje się dziś koniecznem;

Zatem parę słów wyjaśnienia:

1. Nie zostałam wydelegowaną przez *dzisiejszą* redakcyą, lecz przez dawniejszą; tej też redakcyi zdałam sprawę z rozmowy przy kasie i to nie w artykule, lecz ustnie.

2. Redaktor *sam* zgodnie z mem opowiadaniem opisał fakt, i posłał do druku, wobec czego wysunięta przez obecną redakcyę kwestya podejrzeń, badań i potrzeby bliższych informacyi przed publikacyą sama przez się upada.

3. Artykuł więc został usunięty nie przez redakcyą dawniejszą, lecz przez administratora (sic); i to w ten sposób, że bez porozumienia z redaktorem zabroniono zecerom go drukować.

4. Po tym fakcie redaktor złożył urząd a administrator awansował na jego miejsce.

5. Od tej chwili zachowywano wobec mnie głuche milczenie w tej sprawie. Dopiero w so-

botę rano, a zatem nazajutrz po rozmowie Pana z redaktorem, a na dwie godziny przed wyjściem „Przeglądu“ z pod prasy, otrzymałam list nie od redakcyi, lecz od osoby trzeciej. W liście tym donoszono mi, że p. Doorowolski udzielił żądanych wyjaśnień, które mi powtarzają, gdyż, *jak się zdaje*, udzielał ich w tej myśli, aby do mojej doszły wiadomości. — Nb. za formę *zadosyćuczynienia* nie czynię odpowiedzialnym p. Dobrowolskiego. Przypuszczam chętnie, iż pragnął, aby mnie w jego imieniu przeproszono, jak grzeczność nakazywała.

6. Obecna redakcya „Gońca Wielk.“ *jako taka* nie mogła mnie skrzywdzić, gdyż od czasu zmiany redaktora z pismem tem nie mam żadnych stosunków.

Proszę o zamieszczenie mego listu w najbliższym numerze „Przeglądu“.

Z wysokim szacunkiem

Izabella z Moszczeńskich
Rzepecka.

Na tem zamykam polemikę w sprawie teatralnej i oświadczam, że na dalsze inwektywy obecnej redakcyi „Gońca“ odpowiadać nie będę.
Sulla.

KRONIKA LITERACKA

Fryderyk Masson- Napoleon i kobiety. Warszawa 1895 str, 295.

Bonapartyzm zeszedł już z widowni świata, resztą Napoleonidów nikt się nie zajmuje, a mimo to postać wielkiego korsykanina wciąż jeszcze jest żywa w pamięci najszerszych warstw społecznych. To tłomaczy dlaczego wszelkie studja nad epoką pierwszego cesarstwa wszelkie pamiętniki z tych czasów, najdrobniejsze wreszcie szczegóły z życia Napoleona są chciwie czytane i poszukiwane przez wydawców. Z setek pozbieranych wspomnień skompilował bardzo zręcznie Fryderyk Masson książkę o kobietach, które grały większą lub choćby najdrobniejszą rolę w życiu geniusza wojny. Każdy przelotny stosunek, o ile o nim doszły wiadomości, został zapisany przez autora, zacząwszy od 18go roku życia ukończonego ucznia szkoły wojskowej, aż do śmierci wygnańca na wyspie św. Heleny. Najłatwiej, rzecz prosta, było znaleść materyał do charakterystyki stosunku z Józefiną. Wicehrabina, przyozdobiona później koroną cesarzowej, wychodzi z pod pióra autora bardzo niekorzystnie, jako kobieta przewrotna, bez serca, rozrzutna, zdradzająca człowieka, któremu wszystko było winna. Zato Napoleon jako mąż jej i kochanek powinien pozyskać sympatyą całej płci pięknej. Inną może miłością kochał Napoleon drugą swą żonę Maryę Ludwikę, ale zawsze była to miłość bardzo szlachetna, bo ciągnąca się prawie do grobu, pomimo, iż Marya Ludwika łatwo z wysokości tronu spłynęła w objęcia Neipperga. Miłością można jeszcze nazwać stosunekNapoleona z Walewską, której sylweta nadzwyczaj dzięczna i sympatyczna zajmuje w książce po obu cesarzowych najwybitniejsze miejsce. Po za tem pozostają inne miłostki z damami z arystokracyi, aktorkami lektorkami i t. p. Są one przeważnie kilkotygodniowe lub kilkomiesięczne i nie zostawiają żadnych śladów po sobie. Dowodzą tylko, iż Napoleon umiał być hojnym nawet dla tych, które chwilowo cieszyły się jego względami. Niektóre z nich odpłacały mu wdzięcznością, były jednak takie, co go wyzyskawszy finansowo, przechodziły do obozu jego nieprzyjaciół. Książka czyta się przyjemnie, choć zaspakaja jedynie ciekawość... niezbyt ciekawą. Tłomaczenie słabe, korekta nieszczególna.

K. Bart.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. We Francyi zanosi się w roku bieżącym na bardzo burzliwe rozprawy budżetowe. — W najbliższym czasie przyjść musi w Chinach do walnej bitwy. Przednie straże chińskiej i japońskiej armii starły się podobno w środę wieczorem. — W sprawie aresztowanych 183 fajerwerkerów niemieckich donoszą, że kilku z nich wypuszczono już na wolność. Cała awantura z agitacyą anarchistyczną nie ma nic wspólnego. — Projekt większego opodatkowania giełdy w państwie niemieckim został już przygotowany. Parlament ujrzy go w najbliższej sesyi. — W sprawie krożańskiej donoszą dzienniki o świetnej polemice adwokata Żukowskiego z osławionym Klingenbergem. Obrońca nieszczęśliwych ofiar powikłał podobno gubernatora kowieńskiej gubernii w rażące sprzeczności. — Pogłoski o zamierzonej nominacyi carewicza rejentem powtarzają zgodnie nieomal wszystkie dzienniki niemieckie.

Zjazdy i kongresy. Sejmik związku spółek zarobkowych i gospodarczych na Poznańskie i Prusy Zachodnie odbędzie się 29 i 30 października b. r. w Poznaniu. — Na kongresie przyrodniczo-lekarskim w Wiedniu postanowiono między innemi starać się o wprowadzenie do szkół pisma pionowego a to ze względu na hygienę grzbietu i oczu.

Wystawy. Ostateczny termin zgłoszeń na przyszłoroczną wystawę rolniczo-przemysłową w Poznaniu został odroczony, lubo jak nam donosi komitet listownie, dotychczasowa liczba wystawców jest znaczna. Dziwi nas bardzo, że komitet nie ogłosił listy członków swoich i pod odezwami nazwisk żadnych nie znajdujemy.

W niemieckiem muzeum prowincyonalnem w Poznaniu urządzono wielką czytelnię publiczną. Czytelnia otwarta jest codziennie od 4—8 po południu, muzeum we wtorki i piątki od 11—1, w niedzielę od $11\frac{1}{2}$—2.

„Lourdes“ angielskie. Zdaje się, że w skutek powieści Zoli „Lourdes“ i polemiki, spowodowanej ukazaniem się tego romansu — pielgrzymki do źródła świętej Winifredy od pewnego czasu stały się coraz częstsze, a liczba cudownych uleczeń wzmogła się gwałtownie. Zródło św. Winifredy, „Lourdes angielskie“, albo raczej walijskie, znajduje się w północnej części Walii na drodze z Chester do Holyhead, w małem miasteczku H o l l y w e l l („źródło święte“) Podczas, gdy Lourdes powstało w najnowszym dopiero czasie, Holywell cieszy się sławą cudotwórczą już od wieku VII. Holywell ma naturalnie także swoją legendę.

W VII wieku w tej miejscowości mieszkała piękna dziewica, imieniem Winifreda, córka rycerza walijskiego Thewith'a a siostrzenica świętego Beuno. Ten mąż święty wybudował kościół, którego służbie siostrzenica jego się poświęciła. Pewnego ranka, gdy udawała się do kościoła, Caradoc, syn króla Alen, zobaczywszą ją, pokochał gwałtownie. Ale święta dziewica z oburzeniem odparła podszepty księcia. Ten zaś zdjęty wściekłością dobył miecza i jednem cięciem ściął głowę Winifredy. Głowa dziewicy stoczyła się z miejsca zbrodni aż pod ołtarz, przed którym na kolanach modlili się wierni. I właśnie w tem miejscu, gdzie się zatrzymała głowa Winifredy, natychmiast wytrysło źródło. Lecz święta dziewica śmierci nie znalazła. Postępowała drogą, którą przebyła jej głowa, podjęla głowę i wsadziła ją sobie na ramiona. Tylko biała kreska na śnieżnej szyji zdradzała napaść, jakiej święta dziewica paść miała ofiarą. Winifred żyła potem jeszcze lat piętnaście i została ksienią klasztoru w Gwytherrin, w którym umarła in odore sanctitatis.

Niezmierny napływ chorych do źródła św. Winifredy poruszył umysły całej Anglii. Biskup katolicki Bagshawe z Nottingham przybył także do Holywell, aby się przekonać o cudownych własnościach wody ze źródła św. Winifredy, i przyznaje, że cudotwórczość tego źródła jest istotną.

Zródło świętej Winifredy jest własnością jednego z najbogatszych właścicieli ziemskich, księcia Westminster, który wydzierżawia je za małym czynszem gminie Holywell. Ponieważ jednak w ostatnim czasie dochody ze źródła niesłychanie się wzmagają, — zapewne sam będzie je chciał eksploatować jako Anglik praktyczny.

Kobiety lekarki. Z przeustawionego przez K. Szokalaya na kongresie hygieuicznym w Budapeszcie referatu o stosunkach zdrowotnych w Bośnii i Hercegowinie wyjmujemy następujący ustęp, dotyczący kobiet lekarek, które zajmują tamże posady rządowe. Kobiety mahometańskie już z pobudek religijnych odznaczają się nieprzezwyciężonym wstrętem do poddania się męskiej opiece lekarskiej. Smutnem następstwem tego faktu jest okoliczność, że chore mahometanki leczone bywają wyłącznie przez zabobonne znachorki. Można sobie wyobrazić, jakie rozmiary przybiera śmiertelność wśród kobiet mahometańskich.

Ta ważna okoliczność nie uszła uwagi bośniackiego rządu i tenże postarał się zmniejszyć złe przez zaprowadzenie kobiecej pomocy lekarskiej. — W ten sposób Bośnia wyprzedziła liczne europejskie państwa, gdzie dotychczas zajmowanie się praktyką lekarską przez kobiety nie jest zaprowadzone, jakkolwiek rzecz ta dla kobiet i dziewcząt byłaby tak zbawienną.

W okupowanych tedy prowincyach praktykują obecnie dwie kobiety lekarki: dr. med. Keck w Mostarze i dr. med. Krajewska (Polka) w Dolnej Tuzli. Ostatnia miała w opiece za rok 1893: 443 kobiety, 180 dzieci i 30 mężczyzn, razem 553 osoby. Jest uzasadniona nadzieja, że przez rozszerzenie instytucyi kobiet lekarek nastąpi poprawa opłakanych stosunków zdrowotnych wśród mahometańskiej ludności. Doświadczenie nabyte w okręgu Dolnej Tuzli, daje rządowi bośniackiemu rękojmię, że zaprowadzenie kobiet lekarek umożliwi ograniczenie zgubnych dla zdrowotności skutków wykonywania praktyk lekarskish przez znachorki, oraz, że z czasem wyguruje całkowicie praktykę znachorek.

Bon mot Bałuckiego. Przyszedł w tych dniach do Bałuckiego aktor już nie drugo, trzecio, ale czwartorzędny i prosił go, aby mu pozwolił objąć jakąś wybitniejszą rolę w jednej z jego komedyi.

Bałucki się wymawiał, mówił, że do tej roli potrzeba rutyny, ale kandydat na „chlubę naszej sceny“ nie ustępował. Wreszcie wydobył najsilniejszy argument i powiedział:

— Ależ panie autorze (o n i tak mówią!) — ja tę rolę studyowałem, ja w niej zresztą trzy razy widziałem Żółkowskiego...

— Łaskawy panie — odrzekła na to ze zwykłym sobie spokojem „gruba ryba“ naszej komedyi — ja widziałem pięć razy Modrzejewską w roli Maryi Stuart, a czy pan kiedy słyszał, abym w tej roli występował?

T a b l e a u — jak pisały za dawnych czasów kuryerki.

Z m a r l i :

Wincenty Prokopowicz, członek redakcyi „Przeglądu Sądowego“ i „Gazety Sądowej“ zmarł w Warszawie.

Prof. Leonard Gey, malarz niemiecki, zmarł w Dreźnie.

Paweł Vigue d'Octon, powieściopisarz francuzki. zmarł w Paryżu.

BIBLIOGRAFJA.

Aleksander Kraushar. Kartki historyczne i literackie. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1894.

Rom. Szreniawa. Indye wschodnie. Warszawa 1894. Cena 3,00 mr.

Wincenty Kosiakiewicz. Bawełna. Powieść Petersburg 1895.

Jeske-Choiński. Bez wyboru. Opowieści jakich wiele. Warszawa 1894. Cena 3 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Czar. Zamieścimy w najbliższym numerze.

Karmazyn w T. Prosimy ufać dyskrecyi naszej. Świadek przesłuchany w środę potwierdził dawniejsze zeznania i dorzucił kilka nowych szczegółów. Co do listu: Nie! Chyba w ostatecznym razie.

213. To zręczne rymy, ale nie poezya.

Składki

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:
Mecenas Radziszewski z Ostrzeszowa 12 mr. Dotychczas zebraliśmy na cel powyższy 531,50 mr.

Na fundusz im. Tadeusza Kościuszki złożyli: Anteczek Radziszewski 3 mr., Władzio Radziszewski 3 mr. Razem 6 mr. — Ogółem zebraliśmy na cel powyższy 115 mr.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Sprostowanie.

W Nr. 28 w rubryce „Składki“, w wierszu 3, czytać należy zamiast 6 mr. — **5 mr.**

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.